GŁOSUJEMY NA FJN!

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

15.IV.1961

Nr 7 (221)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: O należny akcept ● Z poezji afrykańskiej ● O szlachetnej namiętności ● Dosiadam Pegaza ● „Stumilowy" krok Lublina ● Przepraszamy - remanent ● Uśmiech dzieciństwa ● Rozwiązanie konkursu literackiego „Kameny" ● I in.

ZA CZYM BĘDĘ GŁOSOWAŁ?

JERZY DOSTATNI

DZWIGAJĄC ciężkawą walizkę, która miała zapewnić mi przetrwanie sześciotygodniowego okresu do czasu otrzymania przyobiecanego już mieszkania — dosłownie w ostatniej chwili zdołałem uskoczyć przed manewrującą lokomotywą.

Lubelski dworzec bowiem w przeszłości niezbyt przyjaźnie witał swych gości. Zbyt niskie perony zmuszały do skakania ze stopni wagonów, co dla ludzi starszych, chorych lub obciążonych bagażem było nie lada wyczynem. Sama nawierzchnia pełna była wybojów i śmieci, zwożonych dosłownie z całej Polski. Nigdzie ani śladu kwiatka. Poczekalnia wyglądem i atmosferą mogła konkurować z przodującymi spelunkami, restauracja z powodzeniem spełniała rolę zwykłej knajpy. Prowadzące tylko przez tory przejścia w każdej chwili groziły nieuważnemu pasażerowi nagłą i raczej bezbolesną śmiercią. Na wybrukowanym kocimi łbami placu przed dworcem żuły sieczkę chuderlawe szkapy dorożkarskie. Taksówki ani śladu. Według rozkładu co pół godziny, w praktyce co godzinę, pojawiał się jakiś pojazd, z różnym powodzeniem usiłujący spełniać zadania autobusu, utrzymującego komunikację „z miastem".

Takie było przed 12 laty moje pierwsze po wojnie przywitanie z Lubliniem. A dziś? Wyłożony białymi kafelkami tunel, przebudowane całkowicie perony, kilkakrotnie wydłużone daszki ochronne, setki doniczek z kwiatami, nowoczesna restauracja i piękny hall, asfalt na placu, rzędy lśniących taksówek, co kilka minut autobus czy trolejbus, jeden z nielicznych w Polsce zegarów świetlnych, dwa razy więcej pociągów osobowych...

* * *

Kilka dni prowadziłem prawdziwą batalię z właścicielem najlepszego naówczas hotelu, zanim gdzieś w zakamarkach trzeciego piętra otrzymałem pokój z bieżącą wodą. Jeden z trzech, który posiadał tak niezwykły „luksus". Dla odmiany nie było ani szafy, ani etażerki, o ciepłej wodzie nawet nie było mowy.

Pierwszego dnia wróciłem do pokoju grubo po północy, gdy już zaczął się drukować „Sztandar Ludu". Zmęczony całonocną podróżą i całodzienną pracą „jak kłoda zwaliłem się na żelazne łóżko". Ale przegryzione rdzą pseudosprężyny nie wytrzymały 70-kilogramowej „kłody" i wylądowałem na podłodze. Wszelkiego rodzaju interwencje u właściciela kończyły się nieodmiennie otrzymaniem adresu, pod którym można było rzekomo znaleźć mieszkańca piekieł. Nie pozostało nic innego, jak „zorganizowanie" nazajutrz w drukarni kilku kłębków mocnego szpagatu, który do końca pobytu w hotelu z powodzeniem zastępował zdradliwe sprężyny.

Dziś, gdy spaceruję po Pl. Litewskim, uśmiechają się nie tylko do mnie kolorowymi neonami dwa naprawdę luksusowe hotele.

* * *

Wprawdzie nie po przyobiecanych sześciu tygodniach, ale „już" po sześciu miesiącach otrzymałem przydział na mieszkanie. Uliczka nosiła nazwisko poety, który chociaż zmarł z nędzy w paryskim przytułku, to przecież od pół wieku po publikacjach Miriama-Przesmyckiego stał się rewelacją literatury polskiej. Przez dwa dni nosiłem przydział w kieszeni, ponieważ nikt nie umiał dokładniej określić, gdzie szukać tej uliczki. To gdzieś bardzo daleko za miastem — współczuli mi wszyscy.

Wreszcie przy pomocy milicyjnego patrolu udało się odnaleźć obiekt, którego adres był wykaligrafowany na przydziale. Dzielnica była nawet piękna, pełna zieleni i słońca. Ale co druga działka niezabudowana, porastały ją chwasty i śmieci sąsiadów. A dziś?

Na obszernym placyku tuż pod moim oknem wyrosła urocza willa. Z drugiej strony trzyrodzinny już domek. Po jednej stronie uliczki rozłożył się betonowym pasem wygodny chodnik, co drugi domek posiada telefon, na każdym dachu tkwi po kilka anten. Tuż za rogiem wyrosły trzy duże bloki mieszkalne — z pieniędzy państwowych, spółdzielczych i funduszów zakładowych. W innej stronie czerwieni się zakład specjalny dla ciężko chorych, tuż za nim kilka budynków osiedla głuchoniemych, obok wielki prostokąt budynku produkcyjnego jakiejś spółdzielni, tu i tam kilkanaście domków prywatnych. Na sąsiednich wertepach pojawiły się koparki, drążąc wykopy pod fundamenty nowego osiedla mieszkaniowego, nazwanego imieniem wielkiej rewolucjonistki, związanej właśnie z terenem Lubelszczyzny.

Sąsiednią przecznicą od kilkudziesięciu lat zdążały gromady dzieci do potwornie zagrzybionego baraczku, gdzie gnieździły się dwie szkoły podstawowe. Dziś jedna z nich przeniosła się do nowego, pięknego budynku przy ul. Weteranów, druga do równie nowego i pięknego na ZOR-Zachód. Przy baraczku wyrósł trzeci gmach szkoły, a po drugiej stronie ulicy najbardziej nowoczesne kino.

* * *

ZOR-Zachód? Zaraz, zaraz — coś się tłucze w pamięci, coś, o czym wstyd było zamieścić zapisek w dziennikarskim notesie...

Pewnego dnia przybiegł do redakcji jeden z młodszych kolegów, przynosząc sensacyjną wiadomość: przy końcu Al. Racławickich, przed rozgałęzieniem na szosy warszawską i kraśnicką, powstanie wielkie osiedle mieszkaniowe. Coś około 20 budynków, żłobek, przedszkole, szkoła, filia biblioteki, klub, sklepy i podobno — rzecz bardzo podejrzana — jedna centralna kotłownia.

Dziennikarska praktyka oduczyła mnie — wydawało się — niewiary w wiele dziwnych z pozoru planów. Mieszkało się w Szczecinie i Wrocławiu i widziało niejedno „szalone" przedsięwzięcie — ale żeby coś takiego? I to w ciągu kilku lat? Kto zechce mieszkać tak daleko za miastem? Jak ci ludzie dojadą do pracy? A wodociąg, kanalizacja, telefony, zaopatrzenie — nie, to jakaś zawodowa kaczka...

Wiadomość chyba ze trzy dni przeleżała się w szufladzie, zanim osobiście we wszystkich możliwych źródłach nie sprawdziłem, że istotnie są takie plany. Bardzo się wstydzi-

(Dokończenie na str. 2)

O UPOWSZECHNIENIE WIEDZY NA WSI

JÓZEF ZIĘBA

DO listopada ubiegłego roku w powiecie lubartowskim nie było jeszcze oddziału powiatowego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Pracował tu tylko jeden uniwersytet powszechny obsługiwany przez wykładowców dojeżdżających z Lublina.

W tym samym czasie w powiecie chełmskim był wprawdzie oddział TWP, ale działał tu również tylko jeden uniwersytet powszechny. Obecnie w lubartowskim istnieją 22 uniwersytety, w chełmskim 16 i 156 punktów odczytowych TWP oraz 5 uniwersytetów powszechnych zorganizowanych przez Inspektorat Oświaty w Chełmie. Członków Towarzystwa powiat lubartowski liczył w listopadzie ubiegłego roku tylko 23. W Chełmie czynnych członków również nie było więcej. Obecnie Lubartów ma 112 członków TWP, a Chełm przeszło 120. Trzeba tu dodać, że ludzie ci w przeważającej części posiadają wyższe wykształcenie.

Zaangażowanie do popularyzacji wiedzy w ciągu krótkiego czasu w jednym powiecie tak dużej grupy ludzi jest niewątpliwie wielkim osiągnięciem.

(Dokończenie na str. 10)

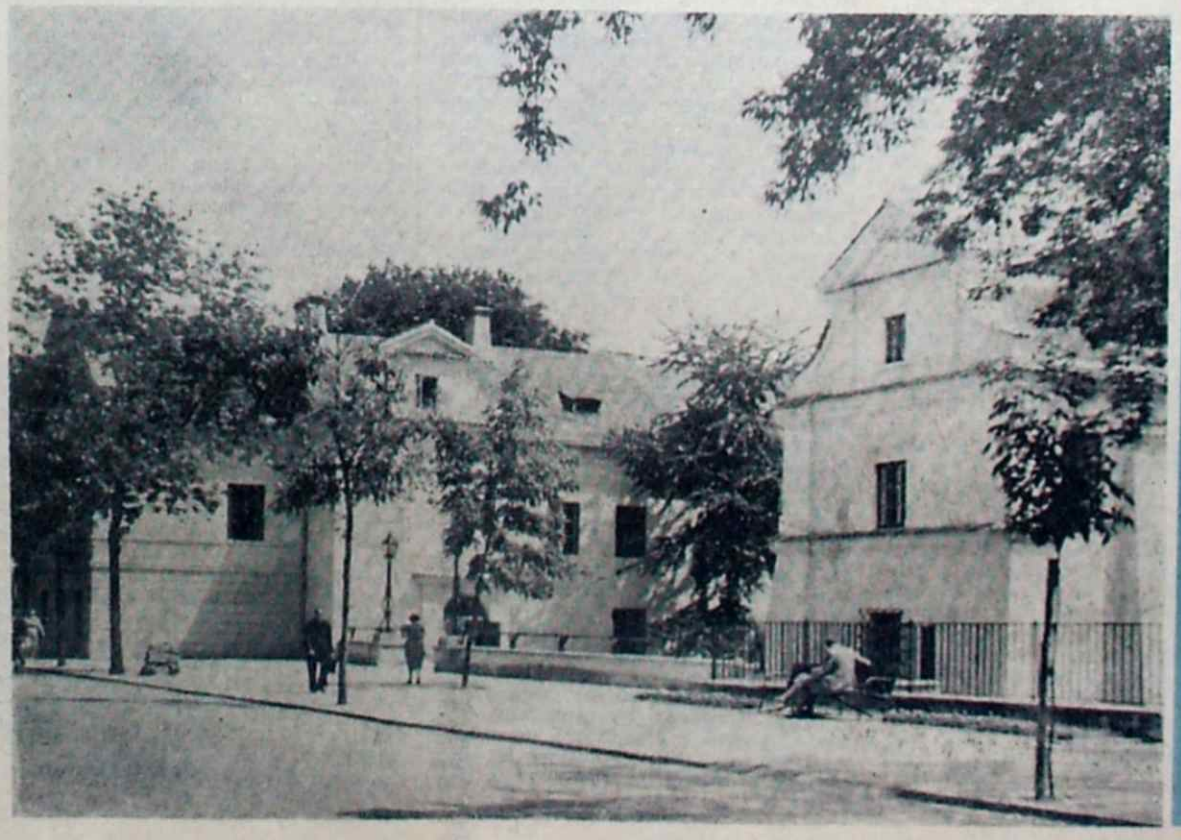

LUBLIN: BIBLIOTEKA IM. H. ŁOPACIŃSKIEGO.
Foto J. Huzar

Za czym będę głosował?

(Dokończenie ze str. 1)

łem — nie tyle przed kolegami, ile przed samym sobą. I wstydzę się do dziś, gdy podnoszę oczy znad maszyny, na której piszę te wspominki. Kilkaset metrów przede mną setkami świateł robi do mnie perskie oko osiedle ZOR-Zachód. A od tego czasu powstały także Bronowice, RDM, Unicka, Szenwalda, Osiedle Mickiewiczowskie, Miasteczko Uniwersyteckie, Tatary, kończą się plany nowej Kalinowszczyzny, urodziły się dwa zupełnie nowe miasta — Świdnik i Kraśnik Fabryczny, napęczniały Chełm i Zamość, nad podziw rozrosła się Poniatowa...

* * *

Wiadomości, nadchodzące początkowo pantoflową pocztą, były niezwykłe: gdzieś koło Zadębia ma rzekomo powstać fabryka samochodów. Właściwie to montownia nadsyłanych z ZSRR części, a potem, w bliżej nieokreślonej przyszłości, może naprawdę fabryka. Po kilkudniowym śledztwie udało się odnaleźć człowieka, który był dyrektorem tej fata-morgany. Jedna z koleżanek przeprowadziła z nim pierwszy wywiad. Odbył się całkiem po prostu na ławce na Pl. Litewskim — przyszły gigant nie miał jeszcze do własnej dyspozycji ani jednego metra kwadratowego miejsca na ziemi. W tym samym czasie drugi członek dyrekcji we własnej sypialni, na maszynie chwiejącej się się na kolanach, pisał pierwsze sprawozdanie dla ministerstwa. Do dziś nie wiem, dalibóg, czego ono mogło dotyczyć.

Po kilku miesiącach od tego wywiadu na ulicach Lublina pojawił się pierwszy samochód, którym rozporządzała przyszła FSC. Była to niezwykła kombinacja chyba 15 różnych typów samochodów, naprawdę w kilku miejscach związanych drutem, a w kilku nawet sznurkiem. Mniej więcej raz na cztery próby wehikuł zdołał wdrapać się na pochyłość ul. Lubartowskiej, czasem zresztą popychany przez dyrektora FSC. A dziś nasze „Żuki" bez specjalnego wysiłku pokonują prawdziwe bezdroża w różnych państwach świata.

* * *

Cementownia Rejowiec od wielu lat przynosiła swoim właścicielom pokaźny dochód, pokrywając niewielką produkcją poważną część skromnego zapotrzebowania kraju. Po wojnie potrzeby wzrosły tak gwałtownie, że trzeba było szybko przystąpić do budowy Rejowca II. Gdzieś w r. 1953 zjawiłem się na tym placu budowy jako członek komisji inwentaryzacyjnej. Była jesień. Budowę prowadzono według powszechnej naówczas metody: najpierw, nie oglądając się na koszt, stawiano budynki produkcyjne, potem dopiero układano drogi. Do magazynu brnęliśmy przez tak głębokie błoto, że wlewało się do „gumiaków" wierzchem przez cholewki. Zresztą trzecia część obuwia na zawsze pozostała w tym niesamowitym błocie. Wyliczyliśmy wtedy, że przewiezienie przez ową topiel jednego kręgu cementowego do kanalizacji kosztowało drożej, niż sam krąg. Chłopski konik, brnąc niemal po brzuch w tej niezwykłej mazi, jednokilometrowy odcinek zdolny był przebyć najwyżej dwa razy dziennie. O samochodzie w ogóle nie mogło być mowy.

Chyba trzy lata później zaczęto w Chełmie budowę olbrzymiej cementowni. Biegnącą na skraju placu budowy szosą nadjechały wielkie ciężarówki. Popularne wśród budowlanych „wędki", małe dźwigi na podwoziach samochodowych, zdejmowały z ciężarówek betonowe płyty, sporządzone według projektu lubelskiego inżyniera. Powstawała w ten sposób prefabrykowana jezdnia, po której najpierw wolno posuwały się przez bezdroża owe ciężarówki z płytami, a potem sznurami ciągnęły setki samochodów, wiozących materiały budowlane. Dziś chełmski gigant pozwala nie tylko na pełne zaspokojenie wciąż wzrastających potrzeb krajowych, ale i na eksport nadwyżek.

* * *

Przed 12 laty tuż za Bramą Krakowską powstawał budynek Lubelskiego Zarządu Aptek. Tempo budowy regulował człowiek obsługujący „kozę". Człowiek czy raczej niewolnik, od setek lat nieuchronnie związany z każdą budową? Młodemu pokoleniu należy wyjaśnić rzecz, dziś już nieznaną. „Koza" była to długa deska zakończona u dołu poprzeczką. Przy pomocy linki, czasem drutu, zawieszało się ją na plecach a potem układało na niej cegły. Zależnie od siły „koziarza" — 10, 15, 20. Dźwigał je po rusztowaniach do murarzy przez cały dzień, podobnie cement i inne materiały.

To była jeszcze pozostałość po minionych latach. Kilkanaście dni później ówczesny dyrektor lubelskiego SPB, a dzisiejszy wiceminister budownictwa, z dumą pokazywał pierwsze na Lubelszczyźnie windy elektryczne, a wkrótce warsztat, gdzie je masowo produkowano. W ciągu kilku miesięcy „kozy" znikły całkowicie. Dziś smukłe dźwigi podnoszą jak piórko kilkutonowe elementy na wysokość ósmego piętra, a niejeden dawny „koziarz", siedząc w wygodnej kabinie i naciskając odpowiednie dźwignie, śmieje się całą gębą do przechodzących dołem dziewcząt.

* * *

Jeszcze nie zdążyłem się zadomowić się na lubelskim bruku — asfalt zaczął pojawiać się dopiero znacznie później — gdy gwałtownie zaterkotał redakcyjny telefon. To jeden z profesorów UMCS gwałtownie szukał pomocy. Kilka dni wcześniej władze przydzieliły szybko rozrastającej się uczelni zabytkowy pałac przy Pl. Litewskim na wydział prawa. Naukowiec, który właściwie nie miał miejsca ani na nauczanie, ani na spanie, spakował cały swój prywatno-służbowy dobytek i sprowadził się natychmiast, za zgodą tych władz, do jednego z pokoików. Ale na budynek miał chrapkę kierownik pewnej ważnej instytucji. I zapewne w poczuciu sarmackiej ważności, co uważała się za równą władzy wojewody, podjechał pod budynek samochodem, kazał swoim ludziom przenieść profesorską chudobę i wszystko wyładował przed ówczesnym rektoratem.

Oczywiście skończyło się przeprosinami i triumfalnym powrotem naukowca na nie zagrzane jeszcze miejsce, sarmacki kierownik zaś w nieco przyspieszonym tempie otrzymał emeryturę. Z tej okazji dziennikarz zaczął grzebać się nieco w historii naszej uczelni. I chociaż nie zanotowano tego w protokółach, to przecież dowiedział się od uczestników posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej Lublina z dnia 8 lipca 1946 r., że zanim przyznano „pod przyszłą chwalebną a pomyślną rozbudowę uczelni" teren pod Miasteczko Uniwersytecki, podnosiły się z sali i takie pojedyncze głosy: „nie pozwolimy, aby studenci krajali nasze dzieci".

Oczywiście studenci nigdy nie krajali, bo to zajęcie profesorów, docentów i adiunktów. Dziś każdy z nas w wypadku choroby bardzo o to zabiega, aby — jeżeli już musi być „krajany" — cała operacja przebiegała właśnie w uniwersyteckiej klinice. O sarmackiej samowoli nikt zaś nie myśli. Odwrotnie — istniejące już cztery uczelnie otrzymują wciąż nowe gmachy, rozrastają się i bogacą zakłady naukowe, liczba studentów wzrosła przeszło dwukrotnie, naukowcy cieszą się powszechnym szacunkiem i pomocą. Na jednym krańcu miasta dojrzewa już dorosłe Miasteczko Uniwersyteckie, na drugim wyrasta wielki ośrodek Akademii Medycznej, nad Bystrzycą szykuje się obszerny teren pod dzienną Szkołę Inżynierską, która naturalnym biegiem rzeczy przekształci się chyba w Politechnikę...

* * *

Grube są notesy wypełnione dziennikarskimi notatkami. Nie sposób w największym nawet skrócie przypomnieć najważniejszych chociażby faktów. Wymienić chociażby co setne nazwisko ludzi, którzy plany pozornie nierealne zamieniali codzienną pracą w dotykalną rzeczywistość, ludzi, którzy w walce o realizację tych planów tak wspaniale dojrzewali. Jakże często, zapędzeni dniem dzisiejszym, nie dostrzegamy tej rzeczywistości dnia wczorajszego i jutrzejszego, mimo że sami jesteśmy jej twórcami.

Dzień wyborów chyba szczególnie sprzyja temu, aby przypomnieć sobie to i owo z niedalekiej przeszłości. Aby nie tylko gorącym sercem, ale także i zimnym rachunkiem dokonać małego bilansu. Bilansu i własnych, i wspólnych, co raczej na jedno wychodzi, osiągnięć. Bilansu, który zapewnia realizację następnych planów i gwarantuje prawidłowość dokonania wyboru przy składaniu głosu. Wyboru na rzecz pokoju, współpracy międzynarodowej, ostatecznego zwycięstwa socjalizmu w szlachetnym współzawodnictwie materialnego i kulturalnego rozwoju ludzkości.

Jerzy Dostatni

O należny akcept

ADAM OWSIKOWSKI

DZIAŁACZ zagrzebany obok swej pracy zowodowej w sprawach społecznych, to ciekawy człowiek. Zapładniając inicjatywą nudzące się często własne otoczenie, pracuje dla jego dobra, ale musi z tym otoczeniem staczać pewnego rodzaju walkę. Walczyć z przeciwnikiem, który nie rozumie, że chce się jego dobra? Trochę za kosztowny paradoks, bo przecież marnują się siły, które powinny być wykorzystane właśnie na działalność inicjowaną przez działaczy społecznych.

Wielu z owych inicjatorów wykazuje ogromny hart i cierpliwość w rozgrywce z własnym środowiskiem, oczekując nawet i takich wyników swego uporu, że zatwardziali ich przeciwnicy staną się kiedyś sojusznikami. Bardzo często się zdarza, że przy podsumowywaniu jakiejś udanej akcji do tego, kto dał jej początek, podchodzi z gratulacjami i taki, który tę akcję zwalczał — ze słowami:

— A widzi pan, jakoś udało się nam pokonać trudności!

Sądzę, że trzy narady (przedstawicieli stowarzyszeń regionalnych — Warszawa, marzec 1960 r.; „pozytywnych bohaterów" — Warszawa, styczeń 1961, lutowa narada w Lublinie), jakie odbyły się na przestrzeni jednego roku, odegrały ogromną rolę w kształtowaniu się świadomości samych działaczy. Jest rzeczą pewną, że ludzie ci byli mniej znani przed rokiem we własnych środowiskach. Ano nimowość była podłożem nieufności ze strony rad narodowych, które bardzo często nieufność pokrywały pełną wyższości pobłażliwością: „Bawcie się, panowie, bawcie, ale my tego wszystkiego jeszcze dobrze nie znamy...". Na ostatniej odprawie lubelskiej wśród uczestników krążył dowcip, który dobrze świadczył o samopoczuciu działaczy:

— Musimy wzniecić bunt: zażądać wycofania z obiegu dawanej nam nazwy „maniacy". Otrzyma ją teraz kto inny.

— Kto?

— Wszyscy ci, u których przeszkadzanie nam stało się maniactwem.

Wydaje mi się, że przy problemie zaufania do działacza społeczno - kulturalnego nie widzi się nieodłącznej sprawy wychowania tak zwanego odbiorcy dóbr kulturalnych. Przecież im więcej tych odbiorców w pełni znaczenia słowa mamy na własnym terenie, tym dla nas lepiej. Mówił o tym w Lublinie nasz lubartowski kolega, Karol Skaruch. Cóż nam po bibliotekach, po muzeach i monografiach, jeżeli nie zainteresujemy nimi naszej młodzieży, która ma kiedyś po nas dalej pracę kontynuować. Dla nas nauczycieli sprawa ta jest przedmiotem specjalnej uwagi, i bez względu na jej aspekty w naszej pracy zawodowej, chcemy ją wnosić i do innych środowisk. Nie możemy się pogodzić ze szmirą obliczoną na konsumpcyjne marzenia naszej młodzieży. Nie możemy patrzeć spokojnie na młodzież obsiadującą stoliki kawiarniane i nie kwitujemy problemu tylko stwierdzeniem, że to jakoś minie. Wierzymy, że w naszej młodzieży jest dużo twórczego entuzjazmu, że jest ona w ogólnym swym profilu dobra, ale nie możemy wobec pewnych przerostów przechodzić jak ślepcy. Czy łatwo jest dzisiaj wśród młodzieży wskazać przyszłych działaczy kulturalnych?... Chyba tak, ale pod warunkiem, że będzie się tę młodzież powoli wciągało w kręgi zainteresowań kulturalnych. Dobrze to kiedyś robił mój nauczyciel, dr Klukowski. Dobrze robi to obecnie kolega Janczykowski z Chełma (wycieczki wakacyjne w terenie własnym). Zaczyna to samo robić nauczyciel Skwarzyński z Krzczonowa i jeszcze wielu innych. Ta praca z młodzieżą, to jak skład delikatnej porcelany, do którego nie wolno wpuścić słonia, bo nie tylko że wszystko wytłucze, ale odstraszy sojusznika na bardzo długi czas. Malutki obrazek z tego odcinka wychowawczego:

W pierwszych dniach lutego przyjechała do Lubartowa ekipa Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych z Lublina z programem iluzjonistyczno - zgaduj - zgadulowym. Więc mały szum: trzeba i organizacyjnie ustawić, i trochę propagandowo, bo to podobno kształci, jak na afiszu „stało napisane". Poezje deklamował Tytus Wilski, a iluzjonistyczne popisy dawał „Balsamo". Wszystko cacy. Tylko zapomniano o jednym, że należy w sposób kulturalny ustawić proporcję między ceną biletu uczniowskiego (4 zł) a wartością nagrody, jaką otrzymuje tenże uczeń w zgaduj zgaduli (książka z przeceny z bubli wydawniczych za 1 złoty). Organizatorzy imprezy nie zadali sobie trudu przejrzenia, jakie książki, jaka młodzież otrzyma. I dlatego jedna z dziewcząt, uczennica klasy IV szkoły podstawowej została obdarowana książką Bolesława Koguta pt. „Módl się za nami". Dziecko książki nie rozumiało, ale przy przerzucaniu stronic natknęło się szybko na teksty z wyrażeniami, za które w szanującym się domu wstydzą się rodzi-

ce. Drobna rzecz, a tyle spustoszenia narobiła. Nie będziemy więc puszczać słoni do sklepu z kulturą.

Centralną osobistością wśród gości na naradzie lubelskiej był Wiesław Sauter z Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Nie możemy na terenie województwa lubelskiego dorównać pewnym osiągnięciom, które Sauter prezentował, ale też i nie możemy pretendować do takiego ustawienia problemów regionalnych, jak je samo życie na Opolszczyźnie ustawiło. Sprawy rewizjonizmu niemieckiego zmobilizowały tam wszystkich. Odnaleziony tekst frywolnej piosenki ludowej sprzed 300 lat ma w tamtejszej atmosferze także swój bogaty sens. Uważam jednak, że jeżeli przy ustawianiu pewnych kolejności w takim lub innym traktowaniu różnych terenów wysuwamy względy przeciwstawiania się rewizjonizmowi, to pamiętać należy, że w czasie ostatniej wojny nie znał on granic nawet etnicznych. Dla Niemców wystarczyło wtedy, że znaleźli gdzieś ślad swego ziomka. Ulica Izabeli Czartoryskiej w Puławach nazywała się przecież za okupacji Peter Eigner-Strasse.

Działacz lubuski poruszył w swych sprawozdaniach problem, który istniał w pewnych okresach i na wielu innych terenach (i u nas był swego czasu powiat, w którym stanowisko kierownika oddziału kultury piastował szewc). Chodziło o uprzedzenia w pewnych środowiskach do inteligencji. Jeżeli istniały one przed rokiem 1956, to można je było wytłumaczyć tzw. „błędami minionego okresu". Jeżeli jednak pielęgnuje się je jeszcze tu i ówdzie, to coś jest nie w porządku z pielęgnującymi lub z samą inteligencją. Często się słyszy dziś o problemie „nudzącej się inteligencji" (raczej pieniądz byłby motorem zdolnym coś tam ruszyć). Mnie osobiście wydaje się, że problem powinien nazywać się „nie chcącej się uaktywniać inteligencji" („jak to dobrze, że inni za mnie zrobią, że są jednak jeszcze wielbłądy społeczne"). Ciekawa dziedzina pracy dla związków zawodowych i młodzieżowych. Dlaczego siedemdziesięcioletni regionalista-historyk z Zamościa, profesor Pieszko oczekuje ciągle ludzi, którym mógłby przekazać prowadzenie swych prac?... Jeżeli gdzieś jeszcze mimo czynnej postawy inteligencji nie ma ona pełnego zaufania, to trzeba zdaniem Sautera przypomnieć dramat radzieckiego pisarza Leonowa pt. „Najazd", który właśnie w ZSRR pomógł kilka lat temu właściwie sprecyzować wytyczne stosunku władz do inteligencji. Lektura jednak wychowuje ludzi i należy do tego środka często sięgać.

W głosach dyskutantów i w wypowiedziach gości (tow. Zgrzywa i tow.

(Dokończenie na str. 12)

Z POEZJI AFRYKAŃSKIEJ

FRANCISCU JOSE TEUREIRU

(Wyspa Świętego Tomasza)

Epopeja

Gdzie jesteś, Afryko,
gdzie wolna twoja przestrzeń,
świat strzał, co tną powietrze?!
Gdzie jesteś, Afryko,
wzburzone twoje rzeki,
fale kipiące jak krew w żyłach?!

—

Biali w puszczach rąbali przesieki
strzałami z karabinów.
Na przesiekach palili ogniska
rozdzierające noc tropikalną.

Ogniska!
Miliony ognisk
na rozpalonej ziemi!

—

Noc, noc księżycowa...
Okręt się czarny kołysze,
z ładowni pieśń dochodzi
i w takt tej pieśni
łańcuchy grzmią.
Noc, noc księżycowa...
Jaki nas czeka los?!

—

Człowieku czarny, tyś się zabłąkał
na obcej ziemi...

W Brazylii
na niezmierzonych plantacjach kawy
jęczałeś pod biczem!
Na północy
zginałeś grzbiet
na niezmierzonych plantacjach tytoniu!

I w długiej nocnej ciszy
tęskniłeś za ziemią rodzinną,
która została tam, daleko...
i pieśni pełne skarg śpiewałeś
z rozdzierającym smutkiem.

—

Ludzie z północy
rozpruwali nożami
brzuchy
ludziom z południa.

Ludzie z północy
mieli mnóstwo
„owocnych" pomysłów,
takich owocnych,
że w skutku były bezowocne!...

Ludzie z północy
obdarzyli się z tego,
co było twoim,
skraweczkiem ziemi: tutaj żyj...
Liberia! Liberia!
O!
Na twoich ulicach
ludzi się liczy na dolary.
Liberio! Liberio!

—

Gdy śpiewasz w kabarecie
i bielą zębów błyskasz —
to twój jest uśmiech, Afryko!

Gdy pędzisz jak strzała
na zawodach sportowych —
to twój jest rytm, Afryko!

—

Więc naprzód,
Afryko!
Niech w pieśni twojej zabrzmi
rytm nowych dni!

...Niech twój dzwoniący śmiech
ku niebu wzlata
jak świsty strzał
przeszywające powietrze!

Spolszczył
Kazimierz Andrzej Jaworski

AGOSTINO NETU

(Angola)

Tworzyć

Tworzyć,
Tworzyć!
Tworzyć w duszy
I w mięśniach,
I w myśli,
I w materii,
I w nerwach
Tworzyć nieustępliwie
— cokolwiek się zdarzy!
Tworzyć, tworzyć!
Pisać o wyniszczeniu lasu
I o bezwstydnym okrucieństwie bata,
Pisać o zapachu zrąbanych pni,
Tworzyć,
Tworzyć nieustępliwie
— cokolwiek się zdarzy!
Tworzyć
Potępiając brutalność drapieżną,
Darząc hartem i uporem słabych,
Budząc siłę przeciw sile
I stanowczość w wątpiącej krwi.
Tworzyć,
Tworzyć nieustępliwie
— cokolwiek się zdarzy!
Tworzyć,
Tworzyć blask gwiazd
Ponad młotem wojny,
Pokój nad dziecięcym płaczem,
Pokój nad potem przelanym,
Nad łzą niewolnika,
Ponad nienawiścią pokój tworzyć,
Tworzyć nieustępliwie
— cokolwiek się zdarzy!
Tworzyć, tworzyć
Wolność na drogach niewoli,
Miłość na zohydzonych
pastwiskach miłości.
I nad kołyszącymi się ciałami
Wśród szubienic życie tworzyć!
Tworzyć miłość,
Tworzyć nieustępliwie
— cokolwiek się zdarzy!

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

Plakat wg projektu Romana Cieślewicza pt. „MURZYN ZROBI SWOJE — MURZYN KAŻE ODEJŚĆ".

FLAVIEN RENAIVO

(Madagaskar
Republika Malgaska)

Drogi

Od drzewa wędrowców — sześć dróg
Wiedzie na wszystkie strony:
Pierwsza — do kraju zapomnienia,
Druga — donikąd, do nieistnienia,
Trzecia — do zwykłej biedy,
Czwarta — przeszła kiedyś
Miłość... Ślad po niej nie został,
Dla tych, co współczucie
w sobie zabili — piąta droga prosta.
A ostatnia? Pięć dróg przemierzyłem.
Tej ostatniej — poznać nie zdążyłem.

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

PODLASIE WALCZY

JERZY SROKA

WŁADYSŁAW St. Reymont w jednej ze swych książek nazywa Podlasie „ziemią łez i krwi". Stefan Żeromski opisując w „Dziennikach" swój pobyt w Białej w latach 1886—87 przedstawia taki charakterystyczny obrazek:

— *Byłem w cerkwiach i kościołach bialskich. W cerkwi, przerobionej z byłego bazyliańskiego kościoła, odprawiano nabożeństwo. Było kilka osób zaledwie, między którymi widziałem czterech chłopów. Sukmany ciemnobrązowe, spodnie zgrzebne, łapcie na nogach. Był między nimi chłopak osiemnastoletni. Dziwne tu twarze mają chłopi. Tu twarze zwiędłe, czarne, smutne. Smutnaś ty, podlaska kraino!*

A oto drugi, jakże znamienny dla owych lat obrazek z tychże „Dzienników":

— *Wracaliśmy ze zwykłego naszego spaceru, gdy nadszedł pociąg wieczorny. Na peronie stała gromada chłopów otoczona żołnierzami i żandarmami. Zbliżać się do nich nie było wolno. Unitów złapano wczoraj w nocy, pozwolono ze sobą zabrać 100 funtów rzeczy, zawleczono na stację, wepchnięto do wagonu... Obywatele miasta Białą są z tego rodzaju scenami oswojeni. Pan Pawłowski dziwił mi się kiedyś, że się takimi rzeczami zajmuję. To takie powszednie.*

Do niedawna na wspomnienie o walce chłopów podlaskich z caratem zwykło się było mówić: prześladowanie i męczeństwo unitów. Sprawy jednakże przedstawiały się zupełnie inaczej. Chłop podlaski przy swym przywiązaniu do tradycji i ojczystego języka nie tkwił bynajmniej w biernym oporze.

Udział mas chłopskich w walkach o społeczne i narodowe wyzwolenie naszego kraju stanowi wciąż wdzięczny i aktualny temat dla historyków. Dotyczy to szczególnie okresu obu powstań narodowych, okresu międzywojennego i lat okupacji hitlerowskiej.

Godnym uwagi i podkreślenia jest fakt, że każda nowa pozycja wydawnicza poruszająca ten temat znika momentalnie z półek księgarskich. Świadczy to niedwuznacznie o dużym zainteresowaniu szerokich kręgów społeczeństwa tymi właśnie sprawami. Podobnie stało się z referatem marszałka Sejmu PRL Czesława Wycecha wygłoszonym w dniu 23 kwietnia 1960 roku na Zjeździe Frontu Jedności Narodu w Węgrowie Podl. Tekst referatu wydała drukiem Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

W niewielkiej broszurce naszkicowany jest obraz walk mas ludowych Podlasia z caratem, sanacją i hitlerowskim okupantem. Obszernie potraktowany jest udział w tych walkach mieszkańców północnej części województwa lubelskiego, obejmującej powiaty: włodawski, parczewski, radzyński, łukowski i bialski — wchodzące w skład regionu Podlasia.

Pozwalam sobie przytoczyć kilka znamiennych fragmentów z wyżej wspomnianego referatu. Sądzę, że zainteresują one czytelnika, w większości bowiem są one prawie nie znane. Zaznaczam, iż swoje wolne streszczenie referatu ograniczyłem jedynie do wiadomości odnoszących się do terenu województwa lubelskiego, uzupełniając je częściowo materiałami uzyskanymi z innych źródeł, podanych w przypisach.

* * *

Na terenie Podlasia, które po III rozbiorze Polski znalazło się pod zaborem austriackim, żywo działały spiski chłopskie związane z Centralizacją Lwowską, powstałą w 1796 r. Nici tego spisku sięgały do Łukowa i Siedlec.

W latach 1796—97 Franciszek Gorzkowski w Cisie k. Broszkowa pod Siedlcami wspólnie z Łukaszem Przyborowskim prowadził rewolucyjną propagandę wśród chłopów. Jak pisze Czesław Wycech, „spisek podlaskich chłopów należy w istocie uznać za pierwszą ludową organizację w Polsce. Jego przywódcy głosili hasło wspólnej walki chłopów znad Bugu i Wisły, z Rusi i Litwy przeciwko panom i zaborcom".

„Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękami czarnymi od pługa" — głosi rewolucyjny hymn chłopski, do którego słowa napisał Gustaw Ehrenberg, będący obok Aleksandra Wężyka, Karola Podlewskiego, Stanisława Morozowicza jednym z przywódców Stowarzyszenia Ludu Polskiego, działającego w Królestwie Polskim. Sekretarzem obwodu podlaskiego tej organizacji był 22-letni aplikant sądowy, Michał Gruszecki, rodem z Kodnia nad Bugiem. Gruszecki rozwijał szeroką działalność spiskową, spotykając się dość często w Siedlcach z Gustawem Ehrenbergiem. Współdziałał z nim Michał Kamiński, aplikant adwokacki, i P. Wyrzykowski, korepetytor, obaj z Białej Podlaskiej. Gruszeckiego aresztowano razem z Ehrenbergiem w Siedlcach. 14 kwietnia 1839 r. odbył się w Warszawie sąd polowy przeciwko 28 działaczom Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Wszystkich zesłano na Sybir. Po 20 latach G. Ehrenberg wrócił do kraju, by stanąć do pracy w organizacji Czerwonych w powstaniu styczniowym 1863 r.

Na terenie Łukowa w latach 1839—41 w szeregach SLP działał Karol Levittoux. Na skutek zdrady aresztowano w Łukowie przeszło 200 osób. Wśród 14 osób osadzonych w warszawskiej cytadeli znalazł się Levittoux.

Zbliżała się Wiosna Ludów. Według niepełnych danych w 1846 roku w Królestwie opór przeciwko wykonywaniu pańszczyzny stawiało 236 wsi. Najwięcej opornych było w powiecie bialskim, we wsiach Swory, Sycyna i Wólka Kościeniewicka. Opór ten wzrastał na sile aż do wybuchu powstania. W połowie kwietnia 1861 r. opór chłopski objął w powiatach podlaskich 113 wsi (Stefan Kieniewicz „Sprawa włościańska w powstaniu styczniowym", Warszawa 1953 r. s. 155).

Podlasiacy zapisali jedną z pięknych kart w dziejach powstania styczniowego 1863 r. Doskonałym dowódcą ludowej partyzantki okazał się Karol Krysiński, ślusarz z Radzynia Podlaskiego. Oddziałki Krysińskiego w czasie od 23.I.1863 do 21.IV.1864 r. stoczyły bitwy i potyczki aż w 53 miejscowościach. Dumą nie tylko Podlasia, ale i całej Polski, jest bohaterski ksiądz Stanisław Brzózka. Syn Podlasia, urodzony we wsi Dokudów w powiecie bialskim, późniejszy wikariusz łukowski, był aktywnym działaczem organizacji Czerwonych i dowodził dzielnie oddziałem chłopskim. Oddziałem, składającym się z chłopów i drobnej szlachty zaściankowej z okolic Białej, Janowa, Łosic, dowodził Roman Rogiński, z ramienia Czerwonych komisarz powstańczy na całe ówczesne województwo podlaskie. W szeregach powstańczych walczyli chłopi z Łomaz, Rossoszy, Tucznej, Huszczy, Kodnia, Zalesia... (W stuletnią rocznicę wybuchu powstania styczniowego działacze kulturalni z Białej Podlaskiej zamierzają wydać po raz drugi pamiętniki Romana Rogińskiego. — *Przyp. J. S.*).

W okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej organizacje chłopskie pod różnego rodzaju postaciami prowadzą ożywioną działalność. Kajetan Sawczuk, ludowy poeta, samouk z Komarna w powiecie bialskim, tworzy staszicowskie kółka rolnicze i kółka samokształceniowe młodzieży chłopskiej. Edward Dudek w Woli Skromowskiej pod Kockiem na jednym z zebrań spółdzielni mleczarskiej pierwszy w Polsce w 1906 r. rzuca myśl zbudowania domu chłopskiego w Warszawie. Andrzej Tarasiuk z powiatu bialskiego proponuje w „Zaraniu" zakupienie folwarku, by „założyć wioskę nowego typu, zacząć gospodarować wspólnie i pokazać, jak to można postawić i u nas kulturę wysoko".

Ogromne zasługi dla sprawy rozwoju oświaty i odrodzenia narodowego wsi podlaskiej położył Józefat Błyskosz, chłop ze Sławatycz. Był on posłem do Dumy w Petersburgu, a następnie wicemarszałkiem w Sejmie Ustawodawczym w 1919 r. ze Zjednoczenia Ludowego.

Ofiarną pracą w dziele postępu społecznego wyróżnili się nauczyciele ludowi, m. in. Stanisław Wielgosek z Łukowskiego i Stanisław Pieśko z Radzyńskiego. Młodzież chłopska zorganizowana w ruchu zaraniarskim wstępuje licznie w szeregi POW, walcząc z Niemcami o wyzwolenie narodowe kraju.

Rok 1918 przyniósł wprawdzie masom chłopskim niepodległość, jednak w obszarniczych majątkach chłop pracował dalej na pana, niekiedy jak za czasów pańszczyzny. Wybuchają strajki chłopskie. W latach 1932—37 biorą w nich udział chłopi z powiatów: bialskiego, łukowskiego, radzyńskiego.

Licha i nieurodzajna ziemia Podlasia nie dawała nigdy bogatych plonów. W niejednej chłopskiej chacie już zimą brakowało chleba. Coraz częściej padały głosy niezadowolenia z sanacyjnych rządów. W wielu podlaskich wio-

(Dokończenie na str. 8)

JERZY BRAUN – POETA PRZEMILCZANY

MIROSŁAW STAROST

Jerzy Braun był przed wojną redaktorem tygodnika „Zet", w którym w latach 1932-34 udzielał dużo miejsca utworom poetów lubelskich i sprawom kulturalnym Lublina. M.in. w „Zecie" zamieszczono wiele wierszy oryginalnych i przekładów poetyckich Józefa Czechowicza. — Red.

JERZY Braun, b. redaktor „Zetu", filozof i publicysta, mało jest znany szerszemu ogółowi od strony swej twórczości artystycznej. Mniej wie się o tym, że jest on bardzo ciekawym autorem dramatycznym, a tylko szczupła garstka zna jego twórczość poetycką zawartą w kilku tomach oraz już po wojnie wydany w r. 1960 — tom „Patos przemijania". Przyczyn powyższych szukać należy przede wszystkim w stosunkach panujących na naszym Parnasie, podzielonym na zwalczające się kliki i kliczki, powodujące zupełne izolowanie jednostek silnych, o własnym, określonym programie artystycznym, nie idących na pasku mody, nie zabiegających o popularność. Taka izolacja dotknęła twórczość Brauna, powodując przemilczanie jej przez prasę.

Oto pierwsze strofy doskonałego jego wiersza — „Tancerz otchłani" — bardzo charakterystycznego dla twórczości Brauna.

Olbrzymi nacisk myśli ku własnej otchłani.
Pękają powrozy napięcia, nowe się wiążą.
Rysuje się nieuchwytne, stygnie w granit.
W mgłach świecą obce kształty, w mózg dążą.
Znużony jak lew zwycięski ległem na nich.

Pierwszy przebił ów mur odosobnienia poety znany krytyk Karol Zawodziński, pisząc o nim w „Roczniku Literackim" m. in. „...tak samo świetnie włada wierszem, jak prozą; mało tego — jest prawdziwym poetą... słowo jego jest potęgi niepospolitej, obrazowanie niewymuszone, bogate i zawsze świeże... wiersz... płynny, przychodzący z rytmem słów..." itp. Charakterystyka poezji Brauna, dokonana przez Zawodzińskiego — na ogół bardzo trafna, wywołuje tylko jeden zarzut, natury czysto ideologicznej. Zawodziński upatruje w poezji Brauna pewne cechy zupełnie jej obce (rzekomo skłonność do panteizmu, zwątpienia itp.). Być może, na pierwszy rzut oka nasuwają się interpretacje tego rodzaju, są one jednak nazbyt powierzchowne (w ten sposób można by Braunowi — poecie przypisać np. wiarę w palingenezę); w głębszej interpretacji twórczość poety całkowicie pokrywa się z jego światopoglądem filozoficznym.

A oto fragment Epitaphium ku czci filozofa Wrońskiego. Przypominamy, że Wroński $^{2}/_{3}$ życia spędził we Francji:

Jakaż siła udźwignie takie życie wzniosłe,
któż by mógł tak trwać co dzień nad światem [wyżynnie.]
Któż by śmiał, jak ten wyrzec: Nad kosmos [wyrosłem.]
I żyć. I jeść za stołem. Rozmawiać gościnnie.
Monsieur Wroński w wytartym brązowym surducie,
czyś to ty po bulwarach przechadzał się co dzień?
Czyś to ty na balkonie wśród bluszczów się [smucił]
nad globem, co go bliski nawiedził przechodzień?

Źródłem twórczości poetyckiej Brauna jest refleksja, równowaga uczucia i poznania, tak genialnie swego czasu wycechowana w Estetyce Libelta jako zaród trzeciego, szczytowego etapu rozwoju sztuki. Refleksja — jako inspiracja artystyczna poety implikuje poczucie metafizycznego ładu i stanowi niejako dźwignię, wznoszącą twórczość jego na wyższe kondygnacje, stawiając jej równocześnie wielkie trudności zewnętrzne, techniki artystycznej.

Tu dotykamy kwestii Formy (konstrukcja) i formy (środki wypowiedzi) utworów Jerzego Brauna. Forma w znaczeniu konstrukcji ma w twórczości jego wybitne skłonności do monumentu (wizja monumentalna) odpowiadającego godnie jej ważkim inspiracjom. Wizja to żywa, przekonywająca, narastająca z jakąś dziwną wewnętrzną koniecznością; ustawicznie powracający mit Człowieka — zwyciężającego „przemoc niemocy", niestrudzonego wędrowca, szukającego samego siebie i uparcie drążącego tajemnice bytu. Snuje się też wizja przyrody. Przyrody — monumentu, niepomiernie wybujałej, tętniącej nadmiarem soków, pulsującej gorączkowym niepokojem. Dwie te wizje równoważą się kapitalnie.

Formą w sensie opanowania możliwości i środków wypowiedzi włada Braun po mistrzowsku. Technika jego jest w pełni nowoczesna, a harmonizuje organicznie z ważką inspiracją, której jest doskonałym wykładnikiem, śmiała i obfita metaforyka, swoboda traktowania strofy — nieanarchiczna, giętka, elastyczna rytmika, wreszcie bogactwo rymu, asonansu, aż do wiersza wolnego, to cała skala środków, którymi Jerzy Braun operuje pewnie i celowo.

* * *

Wydany niedawno tom pod znamiennym tytułem — „Patos przemijania" *) — zawiera utwory publikowane poprzednio w tomach: „Najazd centaurów", „Oceaniada", „Dywan rozkwitający", „Ziemia i niebo", „Tancerz otchłani", „Poematy" oraz z cykli niedrukowanych — „Prometej Adam" i „Moja Matka."

Oto fragment charakterystyczny tytułowego wiersza

A przecież był ten czas, gdy z łun imaginacji
patos wschodzących kultur jak zorza wstawał —
gdy licząc woły i owce na karbowanej lasce
lub w zamyśleniu leżąc pod gwiazdozbiorów [kurzawą]
nocą na Roba el Khali, pod horyzontem wydm,
matematyczne zagadki semicki układał pasterz,
gdy pierwsze rejestry gwiazd Babilończyk [kędzierzawy]
na cegiełkach klinowych rylcem odciskał
i księgi handlowe prowadził Fenicjan i Żyd.

Bardzo słuszna jest próba charakterystyki poezji Brauna zawarta w przedmowie: „Przyglądając się poezji zawartej w niniejszym wyborze, nie popełniamy chyba zbyt rażącego błędu, jeżeli powiemy, że jest to poezja filozoficzna. Filozoficzna w tym rozumieniu, że refleksja wywodząca się z metafizyki góruje tutaj nad bezpośrednim żywiołem poetyckim.

Uwaga o filozoficzności wierszy Brauna nie umniejsza bynajmniej jej wartości poetyckich. Miłośnik poezji spostrzeże łatwo, że poezja Brauna jest żywiołowa, nasycona pasją, buntem, że zawiera się w niej wiele pierwiastków prometejskich, tak właściwych naszej poezji romantycznej".

Trudno nam się tylko zgodzić z następującym tej przedmowy fragmentem: — „...o ile poeta romantyczny świat pragnął sobie podporządkować lub pogardzając światem wybierał samotność i melancholię swego osamotnienia, o tyle w przypadku Jerzego Brauna poeta jest zafascynowany światem i pragnie w tym świecie zrealizować to co, najwyższe i najdoskonalsze".

Bo przecież dążenie do harmonicznego ujęcia tego, co najwyższe i najdoskonalsze — to właśnie królewska droga całej poezji romantycznej...

---

*) Jerzy Braun: „Patos przemijania". Z wierszy dawnych i nowych. PIW. Warszawa 1960. Str. 110.

Powroty

JANUSZ DANIELAK

RAZ tylko w roku mój pociąg jedzie w tę stronę, przedzierając się nieco ospale przez chłodną, grudniową noc — drogą znaczoną nie jedną, ale tysiącami gwiazd, sypiących się z parowozu.

Raz tylko w roku. Tak już jest od pięciu lat chyba, od czasu, kiedy słowo „rodzina", tak jednoznaczne kiedyś — matka, bracia — zaczęło się podwajać, zyskiwać jakby drugi — może ważniejszy? — sens: żona, dziecko. Nie jest to już nawet mój pociąg, jedziemy we troje, jedziemy razem. A jednak one — żona i malutka Agnieszka, malutka Agnieszka bez reszty pochłonięta obserwacją sypiących się z parowozu gwiazd — one jadą gdzie indziej. Tylko ja wracam. Żona — po prostu wyjeżdża na święta. Agnieszka — jedzie odwiedzić babcię. Tylko ja — wracam. Wracam do K., do K., które — cokolwiek mnie jeszcze w życiu spotka, nawet gdy odbędę już te swoje podróże na Madagaskar i do Rio de Janeiro, pozostanie zawsze obszarem przeżyć najważniejszych.

Być może kiedyś K. stanie się tylko obszarem wspomnień.

Teraz jednak moje powroty tam są tylko trochę sentymentalne.

K. nie pozwala na ckliwość. Nie są to powroty do „cichej, rodzinnej wsi", w której spędziło się „najpiękniejsze lata dziecięctwa". Diabła tam! Boję się, że jak tak dalej pójdzie, to w ogóle skończy się wieś, nieprawdziwy stanie się argument, który w niedawnych jeszcze latach tak pięknie mi służył. Pytali: „Skąd pochodzicie?", „Ze wsi", „Ziemi dużo?". „Jeden ar". Kiwali głowami trochę niedowierzająco, ale jednocześnie z uznaniem. A ten jeden ar to było podwórko, na którym rosło pięć słoneczników, pięć ukochanych słoneczników mojej mamy, których już teraz nigdy nie widzę, bo przyjeżdżam do K. tylko raz w roku, zimą, w chłodną grudniową noc.

Noc — nie noc zresztą. W zeszłym roku coś dziwnego stało się z tą nocą, coś co mnie z początku oburzyło, bo jednak lubiłem wysiadać na stacji w K., pełen — ukrytej w mroku — zadumy.

Wysiadamy. Peron był pustawy, ale jakoś nie zwróciłem uwagi na to, że — dostrzegłem tę pustkę. Podchodzi dopiero dyżurny ruchu, Kuba, i pyta:

— No i co?

— Niby co? — odpowiadam dowcipnie.

— No to... — i robi zamaszysty ruch ręką.

„To" — to jest kilkanaście wysokich, elektrycznych lamp na peronie w K.

— Proszę, cię, Kuba — mówię — znajdź nam taksówkę. Pojedziemy przez pole, w horyzont, prosto, hen, na kulig...

Idziemy do domu jednak pieszo, tylko Agnieszka jedzie na tacie — baranie.

Znów trochę wzruszenie — dom, rodzinny dom. Tutaj, w rozległych pokojach odbywały się nasze najważniejsze, najdonioślejsze zabawy. A kiedy dorośliśmy i — synowie marnotrawni — wyjechaliśmy do wielkich miast, szukając miejskich uciech, dom, duży rodzinny dom stał pusty, bo niewypełniony przecież do końca drobnymi kroczkami ciotki Izy, ani gorzką samotnością matki...

Gdzież tam! Przez te lata dom był jeszcze bardziej krzykliwy niż kiedykolwiek. Matka oddała dwa pokoje szkole. „Mają tak ciasno" — powiedziała — „zresztą nie mogę wytrzymać bez tego waszego, dziecinnego krzyku".

W tym roku jednak, będziemy mieć osobny pokój podczas świąt. Szkoła ma już swój nowy, obszerny budynek. Ale matka, zawsze taka, na wiosnę w naszym domu organizuje ośrodek zdrowia. „Chcę go mieć pod ręką" — mówi.

Moja matka jest lekarzem.

Jeszcze nie wszyscy zjechali do K. Jest nas czterech — z czterech stron świata. Jurek przyjeżdża aż z Chin. Ale nie jest tak daleko z K. do Pekinu... Znów jednak będzie spóźniona wigilijna kolacja — to wieczny kłopot ciotki Izy. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek udała się ta historia z zabłyśnięciem pierwszej gwiazdy...

Świecą już wszystkie, kiedy zasiadamy wreszcie, uroczyście, ale nieco udręczeni, bo ciotka rytualnie głodziła nas przez cały dzień. Zresztą i podczas kolacji będzie nas dręczyć kluskami z makiem, bo to tradycja... A w jednym rogu stołu, pod obrusem, błąka się garść siana... Zaśpiewamy więc chyba kolędę?...

Zdzich jest niepocieszony. W drodze losowania został wybrany i delegowany przez nas czterech — na pasterkę... Musi iść. Tego domaga się ciotka Iza, a także matka. Ona jednak nie pójdzie. Jest zbyt muzykalna — a u nas w kościele bardzo fałszywie śpiewają kolędy...

Ale Zdzich musi iść na pasterkę, tego domagamy się także my. Ma ważne zadanie do spełnienia: musi zaprosić do nas na jutro księdza, bo... będzie brakowało ósmego do bridża.

— Przyjechał Jędrek Napierski, to jego poprosimy — broni się Zdzich.

— Jędrek?... — dziwi się matka — on gra w bridża? — pyta z niedowierzaniem. Pamięta go, wciąż zasmarkanego chłopaka, Jędrka od stolarza z drugiego końca wsi.

— Jasne — mówi Zdzich — w Klubie NOT-u jest bardzo wysoko notowany.

Zdzich lubi kiepskie kalambury, ale i tak musi iść na pasterkę.

Rano wyglądam przez okno.

— Ciociu, co się stało z tym naszym pięknym widokiem na rzekę? Gdzie się podział odległy, zamglony horyzont, z rysującą się niewyraźnie siną linią lasu?

Po drugiej stronie szosy na przeciw okna stoi jakiś pękaty budynek.

— Zbudowali przetwórnię — ciotka macha ręką z rezygnacją — teraz jest mróz, ale żebyś widział, jak to śmierdzi podczas odwilży...

— To są koszta cywilizacji...

Drugi dzień świąt. Wieczorem idę do pana Lipskiego, kierownika szkoły. Idę sam, żona już dawno się z tym pogodziła, tutaj w K. musi honorować pewne dawne zwyczaje, dla niej trochę niezrozumiałe i nawet podejrzane. Ta tradycja wizyt u pana Lipskiego na pewno nie jest kryształowo czysta. Pozostała z czasów, kiedy kochałem się w córce pana Lipskiego. Teraz Danusia ma już męża i czworo dzieci i z tego powodu nawet na święta nie przyjeżdża do K. A ja jednak — chodzę tam. Podejrzewam, że także i dawniej, za czasów tamtej miłości, plątały mi się trochę uczucia. W każdym razie o Danusi już zapomniałem, ale wciąż bardzo lubię chodzić do swego niedoszłego teścia.

Miał dwa największe marzenia: zbudować trotuar przez całą długość K. i — kupić sobie motocykl. Trotuar jest już ułożony, gładki i szeroki.

— A motocykl? — pytam.

— Będziemy asfaltować szosę — odpowiada.

To chyba tacy ludzie „psują mi" tę cichą spokojną dawniej wieś K.

Rozmawiam o tym z Tadeuszem. On także przyjeżdża tutaj co roku. Tadeusz jest znanym reżyserem filmowym. Chętnie bym się teraz przyznał, — że — jak to się mówi — pasałem z nim świnki. To byłaby jednak nieprawda. On rzeczywiście pasał. Był synem nauczyciela, który musiał sobie pomagać... hodowlą. Ale mnie matka na to nigdy nie pozwalała — miała takie mieszczańskie przesądy. Widać z tego, jak przesądy są szkodliwe: nie mogę powiedzieć teraz, że pasałem z Tadeuszem świnki...

W każdym razie mając kilkanaście lat wypaliliśmy razem pokryjomu niejednego papierosa. Teraz Tadeusz pali „Camele", ale pozostał mu dawny zwyczaj wydmuchiwania dymu w rękaw. Wydaje mi się to częściowo wzruszające.

Rozmawiamy o jego nowym filmie

— Chciałbym ocalić czas naftowych lamp — mówi.

— Nie musisz się znów z tym tak bardzo spieszyć — zauważam zgryźliwie.

— Ale tutaj nie ma już naftowych lamp. A przyznaj się, i dla ciebie historia K. jest jakby historią wszechświata.

Może tak. Ale to nie dlatego tylko, że kocham K., ponieważ się tutaj urodziłem. Jednostkowa miłość nie jest argumentem dla historii. Może tylko pozwala nam lepiej ją widzieć.

Raczej więc dlatego, że właśnie w takich K., w tysiącach takich K., widać najbardziej autentyczną i ludzką historię. Nieobojętną może losom międzyplanetarnych wypraw, ale wciąż jeszcze bardziej zainteresowaną sprawami asfaltu i elektryczności.

Chciałbym za kilka lat pojechać do K. właśnie elektrycznym pociągiem. Choć boję się, że Anieszka byłaby rozczarowana, bo podróż trwałaby zbyt krótko i nie byłoby już parowozu, pozostawiającego za sobą smugę gwiazd.

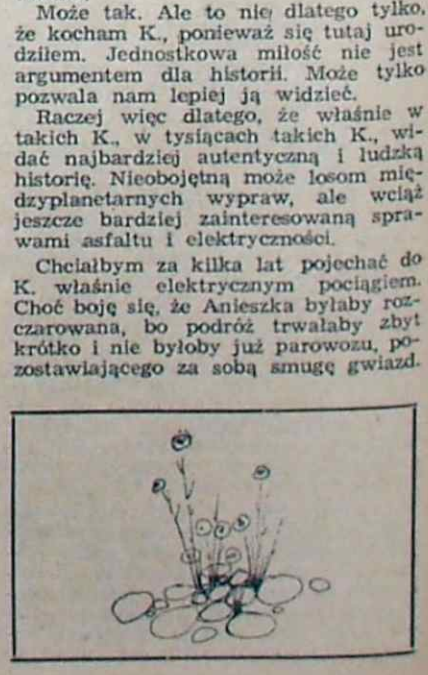

O SZLACHETNEJ NAMIĘTNOŚCI I WIELKIM TRUDZIE

Edward Wrocki.

Przyjechałem do Lublina 30 września. Nazajutrz stawiłem się w PKWN, by prosić o przydzielenie mi odpowiedniej pracy. W Resorcie Kultury i Sztuki powitano mnie, jak to się mówi, z otwartymi ramionami: — „Gdybyśmy wiedzieli, że pan jest na Saskiej Kępie, przysłalibyśmy po pana willisa".

Artysta-malarz Aleksander Rafałowski, którego poznałem swego czasu w warszawskiej kawiarni „Kresy", prowadził w Resorcie dział plastyki, muzyka i szkolnictwo artystyczne były domeną działalności Mieczysława Drobnera i Aleksandera Barchacza, również moich starych znajomych — interesantów Biblioteki Operowej. Działem teatralnym opiekował się znany reżyser operetkowy, niedawno zmarły Tadeusz Wołowski, także bywalec Biblioteki.

Z miejsca obarczono mnie misją tworzenia wojewódzkiego wydziału kultury i sztuki. Wyglądało na to, że predestynują mnie do takiej roli moje kwalifikacje muzykologa i bibliografa... Cóż, kierownictwa się imali w tym okresie często nie tyle fachowcy, ile ludzie dobrej woli.

Zacząłem więc „urzędować" jak potrafię.

W tym okresie wszystkie sprawy były pilne. A najpilniejsze było zabezpieczenie budowli zabytkowych, wszelkich obiektów o wartości artystycznej. Na szczęście, już od początku nowy Wydział zdobył prawdziwego fachowca, — speca w dziedzinie konserwacji, energicznego i przedsiębiorczego inż. arch. Zygmunta Knothe. Ruchliwość tego człowieka zasługiwała na podziw: w lokalu wydziału był właściwie gościem, bo bez przerwy tłukł się po „terenie", nie zważając na bezdroże i możliwość natknięcia się na jedną z grasujących band.

Wspieraliśmy go, w miarę naszych umiejętności, okólnikami, których imperatywny ton przypominał rozkazy dzienne armii. Mimo wielkiego jeszcze zamieszania okólniki nasze miały niekiedy dobry skutek. Tak było np., w wypadku, kiedy zagroziliśmy srogą karą „osobom dopuszczającym się niszczenia wartościowych zespołów krajobrazowych". Dowiedzieliśmy się później z pewnych relacji, że magia wyrazów „zespoły krajobrazowe" ocaliła wówczas trochę starodrzewu.

W listopadzie wyjechałem do Moskwy jako członek pierwszej wycieczki inteligencji polskiej do Związku Radzieckiego. Nabiedziłem się przedtem porządnie ze zdobyciem odpowiedniego palta. Od momentu wyjścia z warszawskiego mieszkania przy

Jedno z patriotycznych wydań popowstaniowych
Ze zbiorów E. Wrockiego

Kiedy przed trzema tygodniami grono przyjaciół i znajomych odprowadzało na miejsce wiecznego spoczynku doczesne szczątki Edwarda Wrockiego, niewielu z lublinian obecnych na tej smutnej uroczystości zdawało sobie sprawę, że w tym od kilku lat mało udzielającym się ludziom człowieku żegna nie tylko muzykologa, b. dyrektora warszawskiej Biblioteki Operowej, ale ogarniętego szlachetną pasją kolekcjonera na wielką skalę, który pragnął ofiarować społeczeństwu olbrzymie bogactwo swych zbiorów, czego los sprzysięgłszy się dwukrotnie przeciw tym zamierzeniom nie pozwolił mu dokonać. Większość żałobników wiedziała jedynie, że był to pierwszy po Wyzwoleniu kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie, miłośnik książek i organizator wystawy chopinowskiej w naszym mieście, urządzonej w foyer Teatru Osterwy z okazji wystawienia w r. 1949 „Lata w Nohant" Iwaszkiewicza. I że niedawna wystawa grafiki rosyjskiej w Muzeum Lubelskim w dużym stopniu korzystała z jego pomocy i inicjatywy.

A przecie tyle podobnych wystaw zorganizował w swym życiu Edward Wrocki! Przed wojną — kilkanaście. Tyle dostarczał na różne wystawy własnych eksponatów! Wymieńmy tu choćby takie, jak Międzynarodowa Wystawa Dydaktyczna we Florencji w r. 1925 (dział muzyki polskiej), wystawy moniuszkowskie (Katowice 1930 i Wilno 1932), Puszkin w muzyce (Wilno 1937), Wyspiański a muzyka (Warszawa 1937), wystawa chopinowska (Warszawa 1938), a z powojennych — eksponaty muzyczne i in. na wystawie 150-lecia urodzin Mickiewicza.

Wrodzone zamiłowanie do muzyki i książek kazało już piętnastoletniemu uczniowi gimnazjum wileńskiego nabywać z oszczędności życiorysy muzyków. W broszurze swej „Z doli i niedoli moich zbiorów muzycznych" (wyd. w r. 1937), skąd czerpię wiele przydatnych tu wiadomości, E. Wrocki wspomina o tym, jak opanowała go „żądza nie tylko czytania, lecz i posiadania własnych książek", jak żył „nałogiem gromadzenia wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z muzyką". I o tym, jak stopniowo zainteresowania czysto osobiste zaczęły się przekształcać w pragnienie „utworzenia placówki o charakterze społecznym", skupiającej te zbiory.

A w czasie studiów uniwersyteckich E. Wrockiego w Petersburgu oraz w następnym okresie przebywania i pracy w tym mieście zbiory, dzięki licznym zakupom i ofiarom wzbogaciły się do tego stopnia, że w 1915 r. powstaje „Biblioteka, Archiwum i Muzeum Muzyczne Edwarda Wrockiego", liczące w chwili wybuchu rewolucji 100.000 jednostek, które pewien agent amerykański chciał zakupić za pół miliona rubli! Ale E. Wrocki nie dał się skusić, gdyż wtedy dojrzał w nim już całkowicie zamiar ofiarowania swych zbiorów Akademii Wiedzy Muzycznej w Warszawie; projekt założenia takiej instytucji właściciel bogatej kolekcji już ułożył, chodziło tylko o zrealizowanie takiego pomysłu po powrocie do Kraju i przywiezieniu zbiorów ze Związku Radzieckiego do Polski, czym miała się zająć polska Delegacja Reewakuacyjna. Tylko niewielką część swych zbiorów mógł E. Wrocki przywieźć osobiście do Warszawy.

I oto w stolicy Polski — zawód. Projekt założenia Akademii Wiedzy Muzycznej spotkał się z oporami zawistnych czy nie dość dobrze zorientowanych czynników, Delegacja działała opieszale, nie zabezpieczyła należycie zbiorów w Piotrogrodzie, wskutek czego uległy one znacznej dewastacji i dopiero w r. 1925 wyruszyły w drogę do Polski, utknęły gdzieś, przy czym 10 skrzyń utonęło w czasie powodzi, a pozostałe 119 skrzyń dopiero w r. 1933, po kilkuletnim przeleżeniu się w warszawskim składzie rządowym, zostały zwrócone właścicielowi.

Nad częścią ich roztoczyło opiekę Towarzystwo Przyjaciół Muzyki i Opery Narodowej i użyczyło im miejsca w swym lokalu — w Domu Dochodowym Teatrów Miejskich, gdzie w sali koncertowej i sąsiednich salach szkolnych „Studium Operowego" rozmieszczono eksponaty, udostępniając publiczności ich obejrzenie. Dzięki temu wznowiono, tym razem już w Warszawie, „Muzeum Muzyczne Edwarda Wrockiego".

Z innej części zbiorów powstała Biblioteka i Archiwum Muzyczne. Zawiązano w Warszawie Stowarzyszenie Przyjaciół Zbiorów Muzycznych Edwarda Wrockiego z inicjatywy grona wybitnych muzyków, uczonych i literatów, wśród których m. in. znajdowali się: Emil Młynarski, Karol Szymanowski, Piotr Maszyński, Jan Maklakiewicz, Tadeusz Zieliński, Tadeusz Boy-Żeleński, Juliusz Kaden-Bandrowski, St. Kazuro, Piotr Rytel. Już te same nazwiska świadczą o tym, jaką wagę opinia publiczna przywiązywała do tych zbiorów.

Przez wszystkie lata „warszawskie" E. Wrocki nieustanną, codzienną pracą zbieracza pomnażał swoją kolekcję. Aż przyszła wojna. Przeniesione do gmachu Opery — Biblioteka i Archiwum Wrockiego spaliły się w czasie powstania. Muzeum zaś spłonęło już we wrześniu 1939 r. Dzieło przeszło czterdziestoletniej pracy niestrudzonego zbieracza uległo zagładzie.

Nie załamała ta klęska E. Wrockiego. Po wojnie pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w Wyższej Szkole Służby Zagranicznej, w wydziale muzycznym COPIA (Centrala Obsługi Przedsiębiorstw i Instytucji Artystycznych). Gdy dotknięty ciężką chorobą przeszedł na emeryturę, przebywał często w Lublinie, otoczony troskliwą opieką żony, Marii Bechczyc-Rudnickiej. Nie miał już dawniejszej energii, musiał się oszczędzać. Ale i przez ostatnie siedem lat pomagał żonie gromadzić zbiory teatrologiczne, zajmował się opracowywaniem tek prasowych rejestrujących wydarzenia z życia literackiego, muzycznego, teatralnego. Rozpoczął też pracę nad życiorysem Henryka Wieniawskiego.

Kolekcjonerstwo, muzealnictwo, archiwistyka to nie jedyne, choć najważniejsze karty w życiu tego pracowitego człowieka. Wygłaszał odczyty, urządzał wystawy, zasilał prasę artykułami poświęconymi problemom muzycznym. Redagował „Wiadomości Muzyczne" (1925—1926), „Biuletyn Koncertowy Filharmonii Warszawskiej" (1931—32) i wydał około trzydziestu publikacji, wśród których znajdują się m.in. takie pozycje, jak „Umuzykalnienie a czytelnictwo" (1926), „Na marginesie problematu umuzykalnienia szerokich mas" (1930). Dbając o pamięć wielkich ludzi opublikował „Nekropol Muzyczny" — poświęcony grobom muzyków polskich na Powązkach. Rękopis opracowanego tuż przed wybuchem wojny podobnego „Nekropolu Literackiego" (od r. 1790), który miało wydać warszawskie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy, został przed powstaniem wywieziony przez kogoś na wieś pod Warszawę i niestety dotychczas go nie odnaleziono.

Słynne zbiory Edwarda Wrockiego podzieliły los wielu skarbów kulturalnych Warszawy, obróconych w popioły przez najeźdźcę, ale udostępniane muzykologom dla ich prac naukowych i ogółowi społeczeństwa na wystawach publicznych spełniały te zbiory ważną rolę w międzywojennym życiu muzycznym. Ślady ich znaczenia pozostały w wielu publikacjach, dziś jeszcze — jak choćby „Almanach Moniuszkowski" Czytelnika — powołujących się na cenną kolekcję. Niech przetrwa również jak najdłużej pamięć o pięknym człowieku, niezłomnej Jego pracy i szlachetnej namiętności.

K. A. Jaworski

DROGA cywila-melomana

EDWARD WROCKI

Al. Jerozolimskich jedynym moim okryciem był stary płaszcz płócienny, tak że pod koniec października zacząłem owijać się pod ubraniem gazetami...

Wróciłem z Moskwy przed samą Wigilią Bożego Narodzenia. Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki był olśniony moim granatowym paltem zimowym i barankową czapką z nausznikami. Żonę — która zastępowała mnie w urzędowaniu podczas prawie miesięcznej nieobecności — udobruchałem praktycznymi przedmiotami z zakresu toalety damskiej. Skarby te zostały nabyte na talony ofiarowane nam przez naszych gospodarzy z Mossowietu, gdy ich troskliwe oko dostrzegło, że większość uczestników wycieczki była odziana stanowczo za lekko jak na moskiewskie mrozy.

Mimo iż nie wszystko szło mi jak po maśle, chętnie wspominam ten okres lubelski, jego sprawy i ludzi. Wielu wybitnych towarzyszy podróży miałem w czasie wycieczki do Moskwy. Jednym z tych, którzy zasługiwali na największe uznanie i sympatię, był niewątpliwie prof. dr Henryk Raabe, główny inicjator założenia Uniwersytetu im. Marii Curie Skłodowskiej. Poznałem dr Raabego bliżej, kiedy, wraz z Józefem Wasowskim, M. Bechczyc-Rudnicką i kilku jeszcze osobami, stałem się członkiem-założycielem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej powstałego również głównie z inicjatywy Profesora.

Nie było ścisłego rozgraniczenia kompetencji Resortu a Wydziału Wojewódzkiego. Twórcy różnego autoramentu z zasady woleli załatwiać swoje sprawy u szczytów, ale wielu muzyków garnęło się i do naszej skromniejszej instancji (w ogóle liczba naszych interesantów wzrastała w miarę zbliżania się kresu stołecznej fazy Lublina). I tak się złożyło, że będąc w stałym kontakcie z wielbicielami Polihymnii, zorganizowałem cykl koncertów zwanych w skrócie „wojewódzkimi". Odbywały się one przeważnie w sali Państwowego Instytutu Muzycznego (obecnie Filharmonii)...

Jeszcze przed rozpoczęciem cyklu urządziliśmy Uroczystość Pożegnania Pierwszego Wojewody Wyzwolonej Ziemi Lubelskiej — Ppłk. Kazimierza Sidora. Po przemówieniach doskonale zwięzłych, w bogatej części artystycznej wzięli udział: Orkiestra Teatru Wojska Polskiego pod dyrekcją E. Wejmana, Chór „Echo", pod dyr. T. Chyły, wokaliści: Ignacy Dygas, Maria Borer i Krystyna Szczepańska, wiolonczelista Edward Sienkiewicz, pianiści: Franciszka Leszczyńska i Zygmunt Lisicki. Była to wzorowa akademia na cześć wzorowego zwierzchnika, jakim był Kazimierz Sidor.

Ponieważ cieszę się zawsze, ilekroć spotykam się z objawami wzmacniającymi moją wiarę w człowieka, przeto wrył mi się w pamięć fakt, że urządzenie tej uroczystości pożegnalnej nie tylko nie zraziło nowego wojewody, Wacława Rózgi, do organizatorów, ale wręcz przeciwnie — pozyskało dla nich jego zaufanie.

Na koncertach cyklu „wojewódzkiego" w okresie „stołecznym" i „postołecznym" występowali, oprócz już wymienionych artystów: Grażyna Bacewiczówna, Aleksander Wielhorski, Stefan Rachoń, Arnold Rezler, Mieczysław Paszkiet, Aleksander Kozieł, Tomasz Dąbrowski, Janina Kelles-Krauze, Zofia Massalska, Kiejstut Bacewicz i in. Wystąpiła także z pięknym programem klasycznym Orkiestra Kameralna, powołana do życia przy poparciu Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, przez znanego dyrygenta Zygmunta Szczepańskiego...

Zamknięciem cyklu koncertów organizowanych staraniem Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki był Wielki Koncert Jubileuszowy dla uczczenia 60-lecia pracy artystycznej i pedagogicznej znakomitego tenora, Sequard-Różańskiego.

W programie tego koncertu figurują piękne nazwiska, m.in. uświetnił go Tadeusz Szeligowski, podejmując się niereprezentacyjnego, lecz odpowiedzialnego zadania akompaniatora.

Ale było to już wówczas, gdy Lublin przestał być stolicą, a ja przestałem być naczelnikiem wydziału wojewódzkiego. Śpieszyłem do Warszawy, nurtowany niepokojem o moje zbiory muzyczne. Dochodziły mnie sprzeczne o nich pogłoski. Prawdziwą

(Dokończenie na str. 8)

DOSIADAM PEGAZA

KONRAD BIELSKI

PEWNEGO dnia podczas dużej pauzy podszedł do mnie nieznany mi uczeń, zdaje się z niższej klasy i wręczył list w zwykłej, szarej kopercie, po czym natychmiast się lotnił. List ten zaraz odczytałem. Treść była następująca: „Grono młodzieży ze starszych klas szkół średnich w Lublinie powzięło zamiar wydawania pisma, w którym mogłyby być poruszane wszelkie nasze sprawy. Podstawy finansowe są zabezpieczone. W piśmie przewidziany jest również dział literacki. Zapraszamy Szanownego Kolegę na zebranie organizacyjne, które się odbędzie (tu nastąpiło wyszczególnienie daty i adresu). Proszę przynieść ze sobą rękopisy".

Tak mniej więcej to brzmiało, choć treść odtwarzam z pamięci po upływie czterdziestu lat. Zrobiło to na mnie kolosalne wrażenie. Przede wszystkim okazało się, że w tym dużym i obcym Lublinie są ludzie, którzy wiedzą o moim istnieniu. Mało tego, wierzą, że w planowanym przedsięwzięciu osoba moja może być pożyteczna i przydatna. A już najbardziej zaimponowała mi wzmianka o rękopisach. Wiedzą więc, że ja piszę, i liczą się z drukiem moich utworów. Przyznam się ze skruchą, żem nie zastanawiał się ani chwili nad obliczem zamierzonego periodyku, nad jego stroną polityczną i ideową, ani kto są ci ludzie, dzięki którym „podstawy finansowe są zabezpieczone". Wszystko to dla mnie było nieważne wobec perspektywy druku moich wierszy. Ze zrozumiałą niecierpliwością czekałem na dzień wyznaczonego spotkania. Punktualnie o oznaczonej godzinie stawiłem się na miejscu.

Pora była wieczorna. Zebranie się odbyło na ulicy Szopena w lokalu, który za dnia służył za pomieszczenie jakiegoś urzędu. Świadczyło o tym typowo biurowe umeblowanie. Zastałem tam już sporą garstkę uczniów, mniej więcej w moim wieku, kilku osobników nieco starszych. Młodzież była wyłącznie płci męskiej. Nastąpiła krótka prezentacja, po czym przystąpiono do właściwego tematu obrad. Dziś już nie pamiętam, kto był tam przewodniczącym i referował sedno sprawy. Zdaje się, że był to ktoś w poważniejszym wieku niż my. Przemawiał bardzo rzeczowo i, jak mnie się wydawało, bardzo przekonywająco. Młodzież powinna mieć swoją trybunę. Starsze pokolenie nas nie rozumie. Dopiero jak przeczytają w naszym piśmie co czujemy, myślimy, łatwiej będzie znaleźć punkty styczne i drogę porozumienia. I tak dalej, i tak dalej. Jednym słowem wynikało z tego niezbicie, iż ukazanie się tego pisma zapoczątkuje nową erę w życiu młodzieży. Bo jak się zdążyłem zorientować, zasięg naszej działalności miał być bardzo szeroki i znacznie przekraczać granice samego Lublina. Bardzo mi to zaimponowało. Skoro więc ogólne cele zostały z grubsza nakreślone, przystąpiono do szczegółów. Wywiązała się ożywiona dyskusja, której przysłuchiwałem się z uwagą, ale w niej nie brałem udziału. Wyznaczono sobie zadania, określano terminy. Trwało to wszystko dość długo. Wreszcie padła propozycja, by wobec uformowanego już komitetu redakcyjnego przeczytać te materiały do druku, które koledzy ze sobą dziś przynieśli.

Czułem, że teraz zbliża się moja godzina. Z pozorną nonszalancją, a w gruncie rzeczy przepełniony szaloną tremą, nad którą z trudem panowałem, wyciągnąłem moje sonety i zacząłem czytać. Zapanowało natychmiast milczenie, gdyż niewątpliwie mój występ był gwoździem wieczoru. Ci ludzie mnie nie znali i nie wiedzieli, czego się mogą po mnie spodziewać. A przecież mnie zaprosili do zamkniętego koła. Z tej sytuacji zdawałem sobie dokładnie sprawę. Wiedziałem, że mam do czynienia z elitą intelektualną młodzieży szkolnej i teraz albo ją pozyskam i na stałe zadomowię się w jej kręgu, albo — albo przegrana i odwrót na całej linii. Czułem, że w tym wypadku zawiódłbym czyjeś zaufanie.

Jaki wkład przynosiłem, czyli innymi słowy, jaką wartość przedstawiały te moje wiersze. Z perspektywy czasu nietrudno je ocenić. Była to poezja utrzymana w konwencji młodopolskiej, pod wyraźnym wpływem Staffa, rzecz absolutnie poprawna i nawet nie pozbawiona pewnej inwencji twórczej, ale już wtedy przestarzała. Na szczęście dla mnie, do Lublina prądy nowe jeszcze nie dotarły, bo i w Warszawie dopiero nieśmiało torowały sobie drogę. Lata wojny i kompletnej izolacji zrobiły przecież swoje. Toteż odniosłem całkowity sukces. Zebrani z pełnym aplauzem odnieśli się do przeczytanych utworów, jednogłośnie uznali je za godne druku w pierwszym numerze nowego pisma. Zrobił się przyjemny szmerek i poruszenie, poszczególni koledzy podchodzili do mnie, ściskali dłoń i składali gratulacje. Przewodniczący wyraził radość, że pismo pozyskało tak cennego współpracownika i zaproponował, by dokooptować mnie do ścisłego komitetu redakcyjnego. Co też natychmiast zostało uczynione przez aklamację. Zebrani uchwalili jeszcze termin i miejsce najbliższego spotkania, po czym zaczęli się rozchodzić.

Wtedy podszedł do mnie młody człowiek, mniej więcej w moim wieku — ubrany w kurtkę najoczywiściej przerobioną z munduru wojskowego — o wyrazistej twarzy i wysokim czole, podobny do Napoleona, i zaproponował mi wspólną przechadzkę. Choć była godzina dość późna, chętnie się zgodziłem. Pożegnałem się w myślach, zresztą nie bez żalu, ze skromną kolacją oczekującą mnie w domu i wyszliśmy na ulicę. Byłem przepełniony szczęściem z powodu odniesionego sukcesu i czułem gwałtowną potrzebę długiej i zasadniczej rozmowy, ba nawet zwierzeń. Ostatnie miesiące przymusowego zamknięcia się w sobie i milczenia dały mi się już dotkliwie we znaki. Rozpoczęliśmy więc zaraz ożywioną rozmową na wszystkie możliwe tematy. Okazało się, że mój towarzysz również pisze wiersze, a poza tym jest należycie oczytany i mamy mnóstwo wspólnych zainteresowań. Był uczniem siódmej klasy szkoły realnej. Nazywał się Wacław Gralewski. Prawie całą noc wałęsaliśmy się po pustych i zaśnieżonych ulicach, zajęci wyłącznie sobą i pogrążeni całkowicie w tej osobliwej biesiadzie. Jakże mogło być inaczej, skoro jej tematem była poezja, miłość, plany na przyszłość, a obydwaj byliśmy bardzo młodzi. Prawie już nad ranem wróciłem do domu, ku przerażeniu i zgorszeniu moich gospodarzy. Postanowili natychmiast zawiadomić moich rodziców i wymówić mi mieszkanie. Z wielkim trudem udało się ich przebłagać.

Po krótkim śnie obudziłem się z przeświadczeniem, że coś się w moim życiu zasadniczo zmieniło i to zmieniło na lepsze. I rzeczywiście wieczór ten był dla mnie przełomowym. Związałem się już wtedy mocną i serdeczną więzią z miastem Lublinem, na długie lata, ludzie, których wtedy poznałem, stali się z czasem moimi najbliższymi przyjaciółmi i towarzyszami wielu prac i wtedy również po raz pierwszy oceniono i zakwalifikowano do druku moje wiersze. Uczułem się potrzebny i bardzo pewny siebie.

Tu należy pokrótce wyjaśnić kim byli ci ludzie, którzy mnie zaprosili do współpracy i czym miało być zamierzone wydawnictwo. Jak to już powyżej zaznaczyłem, wtedy o tym nie myślałem i wcale mnie to nie interesowało. Dowiedziałem się o wszystkim nieco później. Istniało mianowicie w tych latach stowarzyszenie młodzieżowe pod nazwą „Organizacja Młodzieży Narodowej", tak zwana O.M.N. Wbrew pozorom nazwy nie miało ono nic wspólnego z endecją, wręcz przeciwnie, ustosunkowane było do niej wrogo i jednoczyło młodzież o poglądach zdecydowanie liberalnych i postępowych. Była to organizacja stworzona przez ludzi z tak zwanego obozu legionowego. Celem jej było pozyskanie młodzieży starszej ze szkół oraz uniwersyteckiej. Statut zawierał mnóstwo sloganów i pięknie brzmiących słów, ale tak naprawdę po wyciśnięciu tej wody, trudno było na tej podstawie coś konkretnego powiedzieć o podstawach ideowych i politycznych. Coś pomiędzy lewą prawicą, a prawą lewicą. Organizacja była zakonspirowana wobec władz szkolnych, co nam niepomiernie imponowało, posiadała szereg stopni wtajemniczenia. Formy pracy polegały na podziale na koła, składające się z kilku, względnie z kilkunastu osób, które odbywały regularne zebrania, na których dokształcano się w dyscyplinach pominiętych lub zaniedbanych przez szkołę, a więc ekonomia, socjologia, religioznawstwo, ale i też najnowsze prądy i kierunki w literaturze i sztuce. Na wyższym szczeblu wtajemniczenia mówiono już o polityce, na najwyższym utrzymywano bezpośrednie kontakty z czynnymi politykami. O.M.N. obejmowała swym zasięgiem wszystkie szkoły męskie i żeńskie. Obecność koleżanek wielce uatrakcyjniała nam dysputy.

Powstanie pisma naszego zostało niewątpliwie zdecydowane na wyższym szczeblu. Ktoś na to przecież musiał dać pieniądze i wziąć odpowiedzialność jako wydawca wobec władz. Natomiast w redagowaniu pozostawiono nam absolutną swobodę i nawet jako redaktor miał być podpisany uczeń. Redaktorem pierwszego numeru został wybrany mój nowy przyjaciel Wacław Gralewski. Pismo nazywało się prosto i bezpretensjonalnie „Młodzież".

Należy stwierdzić, że było to zjawisko zupełnie wyjątkowe. Istniały wprawdzie na terenie Polski różne pisma i pisemka szkolne i międzyszkolne, opracowywane przez uczącą się młodzież. Tak, ale były one wszystkie powołane przez władze szkoły i prowadzone pod kierunkiem i opieką tych władz. Nasza „Młodzież" nie tylko że była puszczona całkowicie samopas, ale reprezentowała kierunek wyraźnie krytyczny i opozycyjny w stosunku do naszych pedagogów. Ponieważ szkoły podówczas miały kierownictwa wyraźnie endeckie, zrozumiałe dziś dla mnie jest to wspaniałomyślne plein pouvoir udzielone nam przez naszych zakonspirowanych wydawców.

Już przy opracowywaniu pierwszego numeru, skoro zorientowaliśmy się, że nikt nam nic nie narzuca, że jesteśmy samodzielni i nie będziemy cenzurowani, daliśmy folgę swoim piórom i temperamentom. Szczególnie wyróżnił się uczeń Szkoły Lubelskiej Czesław Bobrowski. Niezwykle inteligentny — oczytany, dowcipny posiadał ostre i złośliwe pióro. W swych artykułach już nie krytykował, lecz pouczał belferów, jak mają się w stosunku do nas zachowywać, i bez mała jak prowadzić wykłady. Nawiasem dodam, że tenże Bobrowski mając za temat klasówki twórczość poetycką Krasińskiego w krótkiej rozprawce udowodnił, że Krasiński jako poeta był grafomanem i jego poezje nie przedstawiają żadnej wartości, za co dostał pałę, lecz dał dowód niezwykłej przenikliwości, — gdyż o lat czterdzieści wyprzedził oficjalną krytykę literacką. Do Komitetu Redakcyjnego należeli jeszcze bracia Pliszczyńscy, Czesław i Stanisław i kilku kolegów, których nazwisk dzisiaj nie mogę sobie przypomnieć. Wesoło było na tych zebraniach. Dyskusje, żarty, dowcipy. Kipiały młode temperamenty. Kształtowały się światopoglądy.

Wreszcie pierwszy numer był zakończony, opuścił prasę i oddany został do rąk czytelników.

Skoro dostatecznie się nacieszyłem widokiem wierszy wydrukowanych i opatrzonych moim nazwiskiem, z niecierpliwością oczekiwałem krytyki zarówno moich utworów, jak i całego pisma. Mieliśmy w klasie kilku nauczycieli, nieprzeciętnych, ludzi o szerokim horyzoncie i dużej wiedzy. Między nimi wyróżniał się Tadeusz Bocheński, znakomity filolog, znawca antyku, jednocześnie muzyk i poeta. Ciekawa była ta indywidualność, do której nieraz jeszcze będę wracał w moich dalszych wspomnieniach. Gdy Bocheński wszedł do klasy, zaraz mu koledzy wręczyli numer „Młodzieży". Tego dnia wykładu nie było. Profesor odczytał moje wiersze, poczynił swoje uwagi krytyczne, sporo mówił o poezji w ogóle, powołaniu poety, w końcu podszedł do mojej ławki, podał mi rękę i złożył gratulacje, zaznaczając, że czyni to nie jako nauczyciel, lecz jako poeta-kolega.

Nie mniej życzliwie ocenił moje płody Zengteller, nauczyciel francuskiego, człowiek o dużych aspiracjach, ponoć były uczestnik zabaw słynnego Zielonego Balonika. Inni profesorowie odnieśli się do pisma obojętnie, szczególnie byłem ciekawy zdania dyrektora, ale ten milczał i do żadnej wypowiedzi nie dał się sprowokować.

Przemówił natomiast inny dyrektor.

Pewnego dnia do gabinetu księdza Gostyńskiego wezwany został redaktor Gralewski. Ksiądz-dyrektor trzymał w ręku egzemplarz „Młodzieży", a oblicze jego nie wróżyło nic dobrego. Rozmowa była niedługa, ale brzemienna w skutki. Pismo zostało ocenione jako głosy niedowarzonych smarkaczy, którzy ośmielają się wtrą-

→

Chagall: Córka malarza w oknie

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Problem wiosenny

Przełożyła:
MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Mam doprawdy kłopoty straszne.
Zupełnie
tracę sen.
Zrozumcie,
że tylko patrzeć —
przyjdzie
wiosna
do RFSRR.
Dzisiaj
i jutro,
i od wieków wieków
zatacza się
ze słońca
izba-opój.
Ne nie sposób
pracować, człowieku.
Choć prawdę mówiąc —
bezpodstawny to niepokój.
Jeśli badać kwestię poważnie —
owszem, niby tak,
słońce poświeci,
pójdzie swoją drogą.
Ale kota od okna —
ciągniesz za kark.
A skoro zwierza
ciekawość bierze,
to ja
bez niej —
istnieć
nie mogę.

Wyszedłem na ulicę i stoję w osłupieniu,
z lenistwa sił brak...
nie dźwignę ciała.
Nie mam najmniejszego wyobrażenia,
cóżby właściwie robić chciałem?!
Kapie ci bez pardonu
za kołnierz
i po nosie.
Słuchasz.
Nie otrząsasz.
Niby wiersz!
Prawnie —
idź sobie dokąd nogi niosą,
ale w praktyce —
zejść z miejsca
ani rusz.
Jestem, podobno,
dobrym poetą.
Mogę, powiedzmy,
udowodnić:
samogon — to zło niemałe.
No a co o tym?
I czym o tym?
Wszystkie wyrazy
gdzieś się zapodziały.
O — proszę:
upstaryły miasto
radzieckie urzędniki.
— Witajcież wiosnę,
śpieszcie salwą pozdrowić!
Gdzie tam!
zapomnieli w gębie języka,
nie mogą
wykrztusić
ani słowa.
Stanęli —
toczą okiem w roztargnieniu.
Dostrzegli —
dozorcy skrobią lód.

Pod butami woda.
Baseny.
Z boku chlapie.
Z góry lu!
Coś trzeba koniecznie zarządzić.
Bo ja wiem?
ano choćby:
wybrać dzień
najbłękitniejszy
i niechby tego dnia
wszystkim przechodniom
rozdawali
pomarańcze
milicjanci uśmiechnięci.
Jeżeli za drogo —
można prościej
i taniej.
Na przykład:
żeby dziatwa przedszkolna,
bezrobotni, starcy
wsparci
o kostury
codziennie się
w południe
na placu zbierali
i wołali trzykrotnie:
hura!
hura!
hura!
Przecie wszystkie inne kwestie
są mniej więcej jasne.
I odnośnie chleba już,
i odnośnie pokoju.
Ale tę,
kardynalną —
odnośnie wiosny,
trzeba
za wszelką cenę
niezwłocznie uregulować

1923.

---

cać do nieswoich spraw. Uczestnictwo w tym zespole, a już przede wszystkim figurowanie w charakterze redaktora, kwalifikuje się na usunięcie ze szkoły. Należy więc niezwłocznie wybrać, czym chce być, czy redaktorem czy uczniem. Na zakończenie padły te słowa: „Uważałem cię zawsze za porządnego chłopca. To, coś teraz uczynił, tłumaczę tylko tym, żeś wdał się w złe towarzystwo. Kto to jest ten Bielski? Te jego wiersze to zgnilizna i ohyda. Nic dobrego z niego nie wyrośnie. Zerwij z nim natychmiast wszelkie kontakty, a sam zabierz się do systematycznej nauki. Matura niedaleko".

Skoro na najbliższym zebraniu komitetu redakcyjnego Gralewski nam o tym wszystkim opowiedział, zapanowła pewna konsternacja. Jasnym było, że tego ostrzeżenia nie można było lekceważyć, ale z drugiej strony ani przez chwilę nie zamierzaliśmy zrezygnować z naszej dalszej pracy. Pismo rozeszło się w wielu egzemplarzach i cieszyło się wielkim powodzeniem wśród młodzieży szkolnej, a właśnie jego żywy i bojowy ton zyskał na dużej popularności. Gralewski jednak musiał się nieco schować. Matura rzeczywiście była za pasem, a ksiądz-dyrektor nie lubił żartować. Postanowiono więc niezwłocznie zmienić redaktora.

Po krótkiej ocenie możliwych kandydatur wybór padł na mnie. Wyróżnienie to przyjąłem z niekłamanym zachwytem. Byłem po prostu przepełniony dumą. Sądziłem, że wobec życzliwego przyjęcia mych wierszy przez niektórych nauczycieli, nie powinny mnie spotkać specjalne przykrości w szkole. Przykład Gralewskiego zlekceważyłem, sądziłem, że to jest indywidualny pogląd księdza, w dodatku jezuity. W tym stanie rzeczy zabraliśmy się energicznie do redagowania drugiego numeru. Materiału było dość, gdyż sporo nam nadesłano z zewnątrz, z czego niejedno nadawało się do druku. Nie zmieniliśmy tonu, gdyż duża poczytność i popularność pisma umocniła nas w przekonaniu, że kroczymy po właściwej drodze. Nasi wydawcy też nie mieli żadnych zastrzeżeń. Toteż drugi numer „Młodzieży" był bodaj bardziej bojowy niż pierwszy. Nie szczędziliśmy ostrych przytyków naszym wychowawcom i w ogóle treść artykułów odbiegła znacznie od oficjalnie przyjętego kierunku w szkołach. Gralewski ukrył się pod pseudonimem, a nazwiskiem podpisywał tylko wiersze, z uwagi na grożące mu niebezpieczeństwo. Wkrótce więc numer, ciepły jeszcze spod prasy i pachnący farbą drukarską — jak się to mówi — znalazł się w naszych rękach i zaraz rozkolportowany został po wszystkich szkołach.

Z pewnym niepokojem zauważyłem, że nawet życzliwi mi profesorowie unikają wyraźnie rozmowy na temat „Młodzieży". Moje stanowisko redaktora tego pisma, choć budziło podziw wśród kolegów, nie znalazło aprobaty w gronie pedagogów. Czułem, że nad głową moją zbierają się chmury i lada moment spadnie grom. Przeczucia moje się sprawdziły prędzej, niż się spodziewałem.

W kilka dni po ukazaniu się drugiego numeru znalazłem się przed obliczem dyrektora. Dyrektor Strzembosz trzymał w ręku nieszczęsną „Młodzież" i patrzył z wyraźnym niesmakiem to na mnie, to na zadrukowane kartki. Po długim milczeniu odezwał się w te słowa: „Ostatecznie nic nie mam przeciw temu, że Bielski pisze wiersze, nawet profesorowie Bocheński i Zengteller znajdują w nich jakieś nikłe ślady talentu, może kiedyś wyrobisz się i będziesz poetą, w co ja osobiście wątpię. Nigdy się jednak nie zgodzę na te brednie, które tutaj wypisujecie, a przede wszystkim, żeby je podpisywał uczeń naszego gimnazjum jako jakiś redaktor. Jak skończysz szkołę, będziesz robił co chcesz, póki w niej jesteś musisz słuchać, albo też..." tu zrobił gest w kierunku drzwi nader wymowny. Wysłuchałem tej tyrady w milczeniu, bo cóż miałem powiedzieć. Szanse nasze były tak ograniczone. Już miałem odejść, gdy zatrzymał mnie i dodał: „Radzę ci jak najprędzej zerwać wszelkie stosunki z towarzystwem, z którym się zadajesz. Ten Bobrowski to wstrętny cynik, nie ma dla niego nic świętego, a Gralewski też niezły ptaszek. Im prędzej to zrobisz, tym lepiej dla ciebie". Wyszedłem jak zmyty. Kariera redaktorska szybko się skończyła.

I znów odbyła się narada redakcji — co dalej robić. Nikt nie myślał jednak o kapitulacji. Największy kłopot był z osobą redaktora. Chcieliśmy koniecznie, aby pismo nadal podpisywał jeden z naszych ludzi, baliśmy się jednak narażać kolegów na wydalenie ze szkoły. Nie można było brać pod uwagę kandydatów z gimnazjów, których dyrektorzy już się wypowiedzieli, pozostawała Szkoła Lubelska. Liczne grono młodzieży z tej szkoły należało do organizacji oraz współpracowało przy redagowaniu pisma, lecz uznaliśmy, że najodpowiedniejszym na redaktora będzie Czesław Bobrowski. Był on najodważniejszym i najbardziej zaangażowanym publicystą naszego organu, a poza tym jego matka była w Lublinie znanym lekarzem, — osoba o poglądach postępowych, społecznik, ciesząca się ogólnym poważaniem. W razie ostrego konfliktu z władzami szkolnymi miałby prześladowany redaktor przynajmniej skuteczną obronę.

Prace przy trzecim numerze przebiegały sprawnie. Mieliśmy już przecież niezłą wprawę. Ton bojowy niecosmy złagodzili. Publicystyka była przeplatana literaturą. Ja dałem fragmenty patriotycznego poematu pt. „Rejtan". Miało to wszystko uśpić nieco czujność na serio rozdrażnionych naszych pedagogów. Nie obeszło się jednak bez ostrych szpilek, w szczególności w związku z przyjęciem pierwszych numerów przez niektórych nauczycieli i kierownictwa szkół. I znów nowy numer wyszedł, czekaliśmy na reakcję.

Nastąpiła. W niedługim czasie. I nie wiele się różniła od poprzednich. Dyrektor Arlitewicz był człowiekiem rubasznym, posiadał duże poczucie humoru. Toteż rozmowa jego z Bobrowskim, kolejnym redaktorem „Młodzieży", nie była tak uroczysta w tonie jak jego kolegów. Pożartował, powiedział parę niezłych dowcipów i kilka historyjek à propos, lecz w konkluzji wyraził całkowitą dezaprobatę dla pisma, a tym samym dla redaktora.

Kolejna narada całego aktywu OMN-u miała zdecydować o dalszych losach wydawnictwa. Sytuacja była poważna. Trzech dyrektorów wypowiedziało się, zdecydowanie przeciw nam. Większość nauczycieli również nas nie popierała. Drażnił ich ton przekorny naszych artykułów, zarozumiałość i zbytnia pewność siebie. Poza tym wyraźny ton antyendecki, który dawał się bez trudu wyczuć. Z tego też powodu, jak nam zakomunikowało kierownictwo naszej organizacji, sprawą „Młodzieży" zainteresowało się kuratorium. W najbliższych dniach należało się spodziewać nieprzychylnych dla nas zarządzeń. Z drugiej zaś strony poczytność i powodzenie pisma wśród szerokich warstw młodzieży szkolnej była bardzo duża. Trzeba było wyjść z honorem z tych opresji. Po długich i burzliwych naradach postanowiliśmy w tym roku szkolnym czwartego numeru już nie wydawać. Zresztą wakacje były naprawdę niebawem, bo rzecz się działa w początkach maja. Rozpuściliśmy więc wiadomość, że czwarty numer wyjdzie na jesieni. Wiosenne miesiące nie sprzyjają pracy redakcyjnej wobec nawału innych zajęć. Wierzyliśmy, że tymczasem burza tocząca się koło nas nieco przycichnie i obiecywaliśmy sobie znakomity start po wakacjach. Takie były plany i zamierzenia. Niestety niezrealizowane. Numer trzeci „Młodzieży" był numerem ostatnim. Potem nastąpiły znane wydarzenia dwudziestego roku, a potem nikt już nie podjął wydawnictwa.

Pisząc te wspomnienia musiałem się posługiwać jedynie pamięcią własną i niektórych ludzi, uczestników tamtych zdarzeń, którzy przeżyli i pamiętają. Usilne bowiem moje starania, by dostać choć jeden numer „Młodzieży", nie dały żadnego rezultatu. Moje osobiste zbiory i pamiątki uległy w czasie wojny całkowitej zagładzie, taki sam los spotkał archiwa i biblioteki wielu moich znajomych. W bibliotece Łopacińskiego egzemplarzy „Młodzieży" nie ma i nie było. Komu zresztą było w głowie w tamtych latach przechowywać i zabezpieczać pisma młodzieżowe? Wiele innych lokalnych wydawnictw też zresztą zginęło bez śladu. Archiwa drukami lubelskich już po wyzwoleniu zostały w sposób bezmyślny zniszczone, a wraz z nimi wiele bezcennych pamiątek regionu. Dlatego też nie mogłem odświeżyć moich wrażeń, ani też czytelnikom moim zacytować poszczególnych fragmentów.

Sądzę, że ten ciekawy epizod z życia lubelskiej młodzieży szkolnej wart jest przypomnienia. Mam wrażenie, że nasz organ, o takim dużym zakresie autonomii i samodzielności, nie miał odpowiednika w Polsce. Złożyło się na to szereg przyczyn. Przede wszystkim, że główne kierownictwo O.M.N. postanowiło takie właśnie pismo wydawać w Lublinie. Następnie, że w tym czasie w tymże Lublinie znalazła się dość liczna i silna grupa intelektualistów wśród młodzieży szkolnej, która potrafiła podjąć się tego zadania. Trzecią sprzyjającą okolicznością był ogólny bałagan powojenny w świeżo powstałym Państwie Polskim. Nie było ustawy prasowej, nie było wielu dostatecznie sprecyzowanych zarządzeń. Na tym gruncie mogły więc powstawać różne na pozór dzikie wydawnictwa i nawet pewien czas egzystować.

Pismo spełniło swoje zadanie. Wywołało żywy oddźwięk wśród ówczesnej młodzieży, pobudziło do dyskusji i ożywiło myśl twórczą. Skupiło wokół siebie liczne grono entuzjastów i zapaleńców. Miało charakter liberalny i postępowy i dlatego właśnie było zwalczane przez sprawującą władzę endecję. A przede wszystkim stało się zalążkiem przyszłych wydawnictw literackich w Lublinie, a ci tak spostponowani przez dyrektorów szkół młodociani redaktorzy odegrali właściwe role w życiu kulturalnym swego miasta.

Konrad Bielski

PO TAMTEJ STRONIE OLZY

TADEUSZ KŁAK

NIE wiemy nic, co się dzieje po drugiej stronie Olzy, w środowiskach Polaków mieszkających w Czechosłowacji. Nie orientujemy się, że istnieje tam i działa od lat Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, że ten Związek wydaje pismo „Zwrot", wreszcie że drukuje w Czeskim Cieszynie książki w języku polskim. Nakładem Związku ukazują się także zbiory poetyckie Henryka Jasiczka. Mam w ręku tylko ostatnie z nich: „Obuszkiem ciosane" (1955) i „Jaśminowe noce" (1959). O nich właśnie chciałbym poinformować polskiego czytelnika.

Przepisuję ze „skrzydełka" pierwszej z tych książek informacje o drodze pisarskiej Jasiczka. Jego pierwszy tomik pt. „Rozmowy z ciszą" (1948) za-

(Dokończenie na str. 10)

Pianista Józef Hofman
Akwaforta ros. grafika
M. Rundalcowa
Ze zbiorów E. Wrockiego

DROGA CYWILA-MELOMANA

(Dokończenie ze str. 5)

okazała się najgorsza: zbiory spłonęły.

Znany zbieracz materiałów szopenowskich B. E. Sydow pisał w artykule „Chopiniana wojenne" („Odrodzenie" Nr 16, 1945 r.): „Krocząc szlakiem zniszczenia, spełnionego już bez reszty po powstaniu warszawskim, — poprzez stolicę, na placu Teatralnym widzimy lewe skrzydło Teatru Wielkiego, gdzie mieściła się, obok Miejskiej Biblioteki Teatralnej, od r. 1942 biblioteka muzyczna — prócz ikonografii — Edwarda Wrockiego, największy zbiór tego rodzaju w Polsce. Z biblioteką tą wielka ilość bezcennych materiałów szopenowskich zginęła bezpowrotnie..."

*Nie wiedziałem jeszcze o tym w chwili, kiedy opuszczałem Lublin *).*

Edward Wrocki

Fragment ze zbioru „W stołecznym Lublinie", Lublin, Spółdz. Wyd., 1950.

„Stumilowy" krok Lublina

LESZEK GZELLA

OMAWIAJĄC w jakiejkolwiek dziedzinie osiągnięcia trzeba posłużyć się porównaniami, trzeba wykazać w stosunku do czego jest ta poprawa. Przecież na pewno dużym osiągnięciem jest wzniesienie gmachu filharmonii w Bydgoszczy, ale dla mieszkańców Unisławia w powiecie chełmskim osiągnięciem będzie wybudowanie wiejskiego domu kultury. I kiedy chcemy zanalizować stan obiektów kulturalnych i przyjrzeć się w ogóle sprawom kultury w Lublinie i Lubelszczyźnie, musimy obecną rzeczywistość porównać czy to z okresem przedwojennym, czy to z okresem sprzed kilkunastu lat.

Przed wojną Lublin nie liczył się w życiu kulturalnym kraju, zresztą nie miał czym zaimponować. Życie kulturalne zamknięte do kilku obiektów ciasnych i znajdujących się w początkowym okresie rozwoju nie mogło zbyt impulsywnie i twórczo tętnić. Stary gmach teatru bez stałego zespołu teatralnego, kilka salek kinowych, sala filharmonii bez filharmonii, biblioteka im. H. Łopacińskiego, uniwersytet, sala wystawowa, no i w ostatnich latach przedwojennych sala Domu Oficera — to zgoła wszystko.

Spójrzmy na lata powojenne, te ustabilizowane, kiedy już nikt Lublina nie nazywał stolicą Polski Ludowej, kiedy opuścili jego gościnne mury najznakomitsi twórcy literatury, teatru i plastyki, kiedy tylko garstka naukowców pozostała, aby tworzyć nowy, najmłodszy uniwersytet, kiedy Lublin wiejski przeobrażał się w miasto przemysłu przy pomocy... ludzi pochodzących głównie ze wsi.

Był więc już stały teatr. Do gmachu Domu Oficera wprowadziła się operetka pędząc z nim jak niedobrane małżeństwo trochę zbyt burzliwy i kłótliwy żywocik.

Doskonale przypominam sobie rok 1950, wtedy pierwszy raz przekroczyłem progi Lublina, miasta najbardziej osławionego „cudem". Po ulicach tłoczyły się jakieś ciężkie i w kształtach dziwolągowate autobusy kursujące nad wyraz nieregularnie, aby można było na nie liczyć. Miasto przedstawiało widok zupełnie nieciekawy, było brudne, ponure nie tylko w słotne dni jesienne. Trochę też przygnębiające wrażenie odnosiło się odwiedzając lubelskie placówki kulturalne (z wyjątkiem teatru). Zespół filharmonii występował w cywilnych ubraniach, przypominając raczej małomiasteczkową kapelę, której członkowie noszą sukmany i to „każda z innej parafii". Muzeum mieściło się kątem w bibliotece im. Łopacińskiego, sala wystawowa przy ul. Narutowicza 4 była zajęta przez zbiory archiwum. W nowo powstających dzielnicach miasta nie było miejsca ani na biblioteki, ani na czytelnie, ani na kluby. Podzamcza jeszcze wtedy nie było.

Ale 10 ostatnich lat dla Lublina to okres wielkich przemian, przeobrażeń tak radykalnych, że aż zaskakujących.

Teatr dramatyczny zdobywa szerszy z każdym rokiem krąg wielbicieli, udana premiera jest w jakimś stopniu przeżyciem mieszkańców miasta. Z każdą sztuką wyjeżdża w teren zapoznając z ciekawymi osiągnięciami scenicznymi mieszkańców miasteczek powiatowych i niepowiatowych w województwie. Ma też na swym koncie kilka wyjazdów do sąsiadujących z naszym województwem obwodów Związku Radzieckiego. W perspektywie wyjazd do Poczdamu. (Sprawa drugiej sceny dla teatru stała się już prawie koniecznością).

Od operetki wymaga się już znacznie więcej niż tylko gołe nogi baletnic. Przede wszystkim tancerki muszą dobrze i ładnie tańczyć. Wymaga się przedstawień artystycznie dojrzałych.

W pięknie adaptowanej i ładnie urządzonej sali przy ul. Klonowicza 1 usadowił się upaństwowiony Teatr Lalki i Aktora. Jeszcze parę lat temu nie cieszył się powodzeniem wśród dzieci lubelskich. Lublin nie miał wyrobionej w tym względzie tradycji. Teatr czuł się „nieswojo" i szukał pochwał wśród dzieci i dorosłych lubelskich wsi i osad, do których żaden inny teatr nie docierał. Obecnie teatr lalkowy nie musi już „organizować" widowni, dzieci garną się do niego same.

Lubelska Filharmonia realizuje bardzo ambitny repertuar. Na jej estradzie coraz częściej goszczą wybitni polscy i zagraniczni soliści. Chwalebną kartą działalności Filharmonii są audycje szkolne dla młodzieży. Wyniki systematycznego umuzykalniania młodzieży szkół średnich Lublina i w ogóle województwa należałoby sprawdzić osobno, wydaje mi się jednak, że można zaryzykować, choćby na podstawie wypowiedzi pracowników Filharmonii, twierdzenie, iż są one niebagatelne.

Zamek stał się obiektem kulturalnym. W jednym z jego skrzydeł, w nowocześnie adaptowanych salach mieści się muzeum posiadające wiele cennych obrazów oraz eksponatów archeologicznych i etnograficznych. Muzeum lubelskie organizuje w ciągu roku szereg wystaw, wystawę arrasów wawelskich, która była w Lublinie zaledwie kilkanaście dni, zwiedziło ponad 10 tys. osób.

Drugą część Zamku zajmuje Lubelski Dom Kultury, prowadzący działalność środowiskową oraz wojewódzką poprzez poradnię kulturalno-oświatową. Na pewno nie przesadzamy, kiedy powiemy, że LDK jest „uczelnią" dobrego smaku, że uczy nie tylko kultury słowa (zespół recytatorski), teatru (amatorski zespół, który wystawił ostatnio widowisko pt. „Dziwowisko"), malarstwa (sekcja plastyczna), ale także wychowuje towarzysko. Wojewódzka poradnia założyła szereg powiatowych poradni, a nastawiona na dokształcanie kadr instruktorskich w terenie organizuje seminaria, kursy teatralne, taneczne, plastyczne itp.

W Lublinie uruchomiono kino panoramiczne — „Koziołek". Wprawdzie Lublinowi przybyło tylko jedno kino państwowe, ale nie zapominajmy, że w ostatnich latach w mieście naszym powstało kilkanaście kin związkowych. W sumie kina związkowe mają ok. 3 tysięcy miejsc, a więc trochę więcej niż państwowe. Za parę miesięcy powinno być oddane do eksploatacji nowe kino „Kosmos". Obecnie w całym województwie istnieje 14 kin szerokoekranowych, a w Lublinie poza „Koziołkiem" ekran panoramiczny ma również kino przy Prokuraturze.

Olbrzymią rolę w podnoszeniu poziomu życia kulturalnego spełniają już rozmaite świetlice i kluby. W dzielnicy Dziesiąta powstał Dom Kultury Kolejarza, który równocześnie jest biblioteką, czytelnią i klubem-kawiarnią, kinem i salą widowiskową, z której nierzadko korzysta teatr dramatyczny. Na ZOR Bronowice klub prowadzony przez Wydział Kultury MRN stał się nieodzowną częścią dzielnicy i świetnie zaspokaja potrzeby mieszkańców. Podobny klub dzielnicowy powstał przed kilkunastu dniami na Czechowie. Klub w dzielnicy ZOR Zachód od wielu lat znajduje się w stadium kryzysu, i jego opiekunowie nie potrafią wyjść z impasu. Może za często zmienia swoje oblicze firmowe klub „Nora", w każdym razie stara się dotrzeć do pracowników wszystkich dziedzin kultury *). Na pewno klubów tych w Lublinie jest jeszcze za mało. O takie właśnie miejsca rozrywki i kulturalnego odpoczynku upominają się mieszkańcy Kalinowszczyzny, Łęczyńskiej, za Cukrownią i innych.

Ale nie tylko rozmaitego rodzaju obiekty kulturalne, które powstały w Lublinie na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia, świadczą o tym, że miasto nasze zdobywa coraz wyższe szczeble społeczno-kulturalnej drabiny. Nawet pałac kultury, który nie miałby odpowiednich ludzi, byłby tylko pustym pałacem. Życie kulturalne tworzą ludzie i wypełniają tzw. środowiska twórcze. Dość ściśle z tym wiąże się sprawa powołania do życia w Lublinie Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej. Spółdzielnia zrobiła karierę. Wydała kilka bardzo cennych pozycji, choćby wspomnieć „Dziennik z lat okupacji" dr Zygmunta Klukowskiego, nagrodzony przez tygodnik „Polityka", „Ruch oporu na Lubelszczyźnie", wyróżniony przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Spółdzielnia zaczęła wydawać drugi dziennik w Lublinie. Obecnie została upaństwowiona. Na jej miejsce stworzono Wydawnictwo Państwowe.

Kiedy już mowa o wydawnictwach, to od razu nasuwa się na myśl wydawnictwo naukowe UMCS „Annales", które ma więcej zagranicznych punktów odbioru niż publikacje PAN. Zresztą skoro mówimy o uniwersytecie, warto też przypomnieć, że UMCS przed 16 laty rodził się na beczkach w jakiejś salce. Dziś jest prężną uczelnią, dysponującą całym sztabem wybitnych specjalistów. A w ogóle to Lublin jest jedynym miastem w Polsce, w którym są dwa uniwersytety, nie licząc innych wyższych uczelni.

Środowisko literackie w Lublinie jest nieliczne. Jednak od r. 1952 wydawało ono „Kamenę", która, jak widzimy w podtytule, przekształciła się z pisma poetyckiego w dwutygodnik społeczno-kulturalny. Okręg Lubelski Plastyków regularnie urządza wystawy. Młoda grupa „Zamek" wzbudziła zainteresowanie zagranicznych kół plastycznych. Plastycy weszli w życie codzienne każdego z nas, pozostawiając jakby sztalugi dla pracy ćwiczebnej. Otrzymaliśmy wspaniałe plastyczne rozwiązanie wnętrza dworca kolejowego *). Wiele sklepów i kawiarni nabrało pięknego wyglądu dzięki odpowiednim malowidłom. Domy kultury w Nałęczowie, w Łukowie, Janowie i liczne inne obiekty kulturalne nabrały rumieńców dzięki pędzlowi lubelskich malarzy. Z pięknem spotykamy się już nie tylko w salach muzeum i na wystawach plastyków ale towarzyszy ono nam na każdym kroku.

O żywotności kulturalnej miasta mogą świadczyć kabarety. Wprawdzie ich efemerydalny żywocik nie zbyt długi, niemniej potrafią zrobić wokół siebie — jak złośliwi twierdzą — „wiele hałasu o nic". Nie można jednakże całkowicie ze współczesności naszego życia wykreślić „Czarta" czy nadal pracującego i rozwijającego się „Drenu 59".

Rzućmy chociaż pobieżnie tylko okiem na mapę województwa. Słyszało się przed wojną o Zamościu, gdzie działało Koło Miłośników Książki, mówiło się o Chełmie z racji stworzonej tam przez K. A. Jaworskiego „Kameny", może jeszcze o kilku innych miasteczkach z racji takiej czy innej osobistości. Dzisiaj właściwie każdego miasto powiatowe usilnie pracuje nad podniesieniem swego poziomu gospodarczego i kulturalnego. Dzisiaj już nie można pominąć w tournée po Lubelszczyźnie Biłgoraja z jego bardzo interesująco pracującym Domem Kultury, i Łukowa z ciekawym eksperymentem kulturalno-oświatowym i Zakładowym Domem Kultury przy Fabryce Obuwia, i Chełma, i Lubartowa, i Janowa, i Puław, i Stoczka Łukowskiego, i Nałęczowa. W każdej z tych miejscowości (a nie wymieniłem przecież wszystkich) dzieją się rzeczy ciekawe, świadczące o olbrzymiej sile potencjalnej mieszkańców i rad narodowych, które w większości wypadków inicjatywę społeczną popierają w całej rozciągłości.

I kiedy przegląda się plany rozwoju, perspektywy kultury w tym szerokim znaczeniu słowa, łatwo można się przekonać, że nie mamy do czynienia

**) Do wymienionych przez autora placówek należy niewątpliwie dodać Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, mający duże osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania wiedzy. — Red.*

**) O koncepcji plastycznej odnowionego dworca podyskutujemy w jednym z najbliższych numerów. Red.*

Podlasie walczy

(Dokończenie ze str. 3)

skach powstają komórki nielegalnej wówczas Komunistycznej Partii Polski. Chłopi biorą udział w pierwszomajowych manifestacjach wspólnie z robotnikami. Zaczynają rozwijać się i krzepnąć pierwsze zalążki robotniczo-chłopskiego sojuszu. W roku 1930 istniały już komórki KPP w następujących wsiach powiatu bialskiego: Woskrzenice, Dokudów, Zabłocie, Kijowiec, Michałki, Porosiuki, Sławacinek. Najbardziej aktywna była komórka we wsi Kaliłów, która stanowiła bojowy ośrodek radykalnego ruchu chłopskiego regionu Podlasia. W roku 1935 aresztowano w powiecie bialskim 18 chłopów, skazując ich na kary więzienia od 4 do 6 lat.

Wybuchła II wojna światowa. Nadeszły lata hitlerowskiej okupacji. Szeregi ruchu oporu licznie zasilili podlascy chłopi. Pierwsze samodzielne organizacje chłopskie poczęły tutaj powstawać latem 1940 r., przekształcając się następnie w zbrojne oddziały Batalionów Chłopskich. W okolicach Białej Podlaskiej utworzono konspiracyjną szkołę podchorążych BCh.

W partyzanckich oddziałach AK i BCh „Zenona", „Millera", „Lecha", „Mariana", operujących i walczących z Niemcami na terenie północnej części województwa lubelskiego (południowe Podlasie), główną siłę bojową stanowili podlascy chłopi. Oddziały partyzanckie stoczyły wiele bitew i potyczek, m. in. pod Jeziorami, Kozłami, Łomazami, Danówką. Na szczególną uwagę zasługuje działalność konspiracyjnej komórki chłopów ze wsi Kaliłów. Powstała ona samorzutnie już jesienią 1939 r., zawiązana przez Antoniego Czecha, Rekuckiego, Wrzochala, Bondaruka. Chłopi z Kaliłowa wyróżnili się odwagą i ofiarnością przy udzielaniu pomocy uciekinierom z obozów jeńców wojennych, żołnierzom radzieckim.

Piękna i bogata jest tradycja walki chłopów podlaskich o społeczne i narodowe wyzwolenie kraju. Czeka ona na swój historyka. Czeka na swój prawdziwy obraz i rzetelne opracowanie.

Jerzy Sroka

Materiały:
Stefan Żeromski „Dzienniki" t. II 1886—1887, Czytelnik Warszawa 1954 r., wyd. I
Czesław Wycech „Podlasie w walkach o społeczne, narodowe wyzwolenie Polski". (Referat wygłoszony na zjeździe FJN w Węgrowie 23 kwietnia 1960 r.) wyd. LSW Warszawa 1960 r.
„Z pamiętnika Romana" (Rogińskiego) 1859—1863, wydał Al. Kraushar — Kraków — nakład i druk Wł. Anczyca i Spółki 1898 r.
Pamiętniki Antoniego Czecha (rękopis)
Biała Podlaska

z jakąś improwizacją, lecz ze świadomym dążeniem do zrównania Lublina i Lubelszczyzny z innymi województwami kraju.

W Lublinie zostanie dokończony przydługo już ciągnący się remont Zamku. Projektuje się wznieść nowy gmach teatru i sali widowiskowej. Przystąpiono już do budowy krytej pływalni. W ogóle obiekty kultury w naszym mieście i województwie coraz częściej nabierają kulturalnego wyglądu i coraz częściej na boisku sportowym odbywają się zawody i mecze nawet międzypaństwowe.

W województwie powstaje szereg świetlic, wiejskich domów kultury, klubów, czytelni, bibliotek. Coraz więcej też odrestaurowanych zabytkowych budowli staje się użytkowymi obiektami kulturalnymi (jak np. bożnica w Zamościu, która stanowi piękną bibliotekę), socjalnymi i gospodarczymi.

Niewielkie, bo zamykające się w granicach około 40 mln zł na okres 5-latki, fundusze resortu kultury przeznaczone na inwestycje oczywiście nie pozwalają na oszałamiające perspektywiczne plany. Plany są wymierzone realnie. Ale wiadomo, że bardzo dużo można zrobić czynami społecznymi. W Lublinie stworzono w ten sposób Park Ludowy, wspomniana na początku artykułu Bydgoszcz budowę gmachu filharmonii, uchodzącej za jedną z najbardziej akustycznych w Polsce i Europie zaczęła budować właśnie czynami społecznymi. A więc należy spodziewać się, że okres 5-latki przyniesie nam również w zakresie kultury znacznie więcej niż zakreślono to w skromnych planach perspektywicznych.

Nie ulega kwestii najmniejszej, że Lublin roku 1961 jest zupełnie niepodobny do Lublina roku 1939, wcale do Lublina roku 1945, bardzo już mało do Lublina 1950 i niewiele do Lublina roku 1956. To porównanie jest dla naszego miasta „z dzisiaj" bardzo korzystne. Już w tej chwili nie mamy powodu wstydzić się przyjezdnych z Polski zachodniej, a powodem do dumy jest fakt, że prawie wszystko, co mamy, zawdzięczamy sobie. Zrobiliśmy przysłowiowy „stumilowy" krok naprzód.

Al. Leszek Gzella

PRADZIEJE CHEŁMA

STANISŁAW SKIBIŃSKI

W bieżącym roku Chełm Lubelski obchodzi 960 rocznicę pierwszej pisanej wiadomości o Górze Chełmskiej, na której w wiekach późniejszych ulokowało się dzisiejsze miasto Chełm, które swą nazwę wzięło od nazwy wzgórza „Ch-łm". Nadarza się więc sposobność omówienia zabytków i dokumentów od czasów najdawniejszych aż do lokacji miasta na prawie magdeburskim.

Prof. Jan Kowalczyk nazwał niedawno neolit Lubelszczyzny „złotym wiekiem" tej ziemi, gdy bardzo liczne znaleziska zabytków z tej epoki za tym przemawiały. To zdanie odnosi się jak najbardziej i do terenów Ziemi Chełmskiej, która stanowi wschodni kraniec Lubelszczyzny. Nie będę omawiał wszystkich poszczególnych narzędzi znalezionych w okolicach Chełma, gdyż prawie w każdej wsi i osiedlu znaleziono jakieś narzędzia człowieka z młodszej epoki kamienia (neolitu). Istotniejsze będą tutaj ślady pobytu i życia grup ludzi, jak osady, koczowiska, grodziska i cmentarzyska. Jednak i tych jest tak dużo, że wymienię tylko najważniejsze i najbliższe dzisiejszego Chełma.

W czasie powierzchniowych badań na wczesnośredniowiecznej osadzie „Zasłupie" (Mątwica) znalazłem także interesujący zespół przedmiotów krzemiennych, zwłaszcza na piaszczystej kulminacji wysepki wśród bagien. Obserwacje te rozszerzyłem na okoliczne wysepki, a następnie na piaszczyste zbocza wzdłuż doliny rzeczki Uherki i jej dopływów Darczy i Garki. Znalazłem tu stanowiska „przemysłu" krzemiennego w postaci mikrolitycznych przedmiotów, odłupków, wiórów itp. zabytków krzemiennych. Najciekawsze z tych stanowisk znajdują się w miejscowościach: Pokrówka, Żółtańce, Trubaków, Pilichonki-Wygon w Chełmie, Horodyszcze, Okszów, Jagodne, Czułczyce, Staw, Ochoża, Gotówka, Serebryszcze, jeziorko Bazylany, Stańków, Strupin.

Cmentarzyska i groby kultury „łużyckiej" w okolicach Chełma odkryte były w następujących miejscowościach: Horodyszczu, Pokrówce, Strupinie Dużym, Ochoży, Czerniejowie, Pobołowicach, groby kultury „pomorskiej" w kol. Ochoży, Czułczycach. W lesie chełmskim „Borku" widoczne są ślady dwóch cmentarzysk kurhanowych w postaci kilku kopców-kurhanów. Rozleglejsze i okazalsze cmentarzyska kurhanowe zachowały się w lasach stańkowskich, czułczyckich, sawińskich i pobołowickich, a pojedyncze mogiły-kurhany znajdują się na polach Serebryszcza, Depultycz, Pokrówki, Strupina, Strachosławia. W końcu XIX wieku rozkopane zostało duże cmentarzysko kurhanowe w nieistniejącym obecnie lesie stawskim.

Czasy rzymskie reprezentują znaleziska monet rzymskich z II wieku n. e. z Chełma i kilku okolicznych wsi, tworzących drugie co do wielkości skupisko stanowisk z Lubelszczyzny.

Ziemia Chełmska stanowiła część obszaru zwanego „Grody czerwieńskie", które wspomina kronika Nestora w 981 r. Już wtedy polskie plemię Lędzan władało tym obszarem, co wynika z badań prof. H. Łowmiańskiego, który pisze, że „Lędzanie w pewnym momencie zawładnęli obszarem przemysko-czerwieńskim i założyli na tym obszarze szereg osad, grodów i wsi polskich". Do tego okresu można odnieść grodziska w Sajczycach, Kaniach, Podgórzu, Zalesiu Kańskim, osady w Horodyszczu („Zamek" i „Dworzyska"), Czułczycach („Starosiele"), kolonii Ochoży, Okszówku („Świdowice"), Chełm („Zasłupie" — Bieławin). Już w XVII wieku Jakub Susza (biskup unicki) poszukiwał śladów pra-Chełma na podstawie tradycji ludowej i zwrócił uwagę na obszar dzisiejszego Bieławina i „Zasłupia" (gdzie stała okazała budowla kamienna zwana „słup") i wyraził przekonanie, że tam miało się znajdować najdawniejsze miasto „Chełm". Wieloletnie poszukiwania powierzchniowe potwierdzają przypuszczenia kronikarza z XVII wieku. Znalazłem tu ślady rozległego osadnictwa wczesnośredniowiecznego z produkcją żelaza, wyrobem narzędzi żelaznych w postaci noży, bełtów (grotów) i innych przedmiotów żelaznych, osełki i gładziki, kamienie żarnowe, ozdoby kobiece (bransolety szklane, kolczyk brązowy), prześliki. Część przedmiotów jest importowana prawdopodobnie z Rusi Kijowskiej. „Słup" bieławiński był właściwie jedną całą ścianą okazałej budowli kamiennej zbudowanej na siedzibę feudała w końcowym okresie istnienia osady. „Za słupem" (która do połowy XIX wieku nosiła ludową nazwę „Mątwica").

Bardzo interesująca (chociaż legendarna) jest zanotowana przez wspomnianego już Suszę tradycja, iż istniejąca przed XVII wiekiem katedra obrządku wschodniego miała wypisaną na filarze datę pierwotnej erekcji w 1001 roku. Ze względu na rzetelność i krytycyzm kronikarza szczegół ten zasługuje na bliższe zbadanie, gdyż istotnie ks. Włodzimierz Światosławicz bezwzględnie niszczył świątynie pogańskie, a na ich miejsce wznosił chrześcijańskie. W związku z tym istnieje możliwość odkrycia w przyszłości na Górze Chełmskiej urządzeń kultu pogańskiego, jak to już odkryto np. w Górach Świętokrzyskich i na Ślęży. Chociaż data wypisana po grecku „1001" odnosiła się tylko do początków samej świątyni chrześcijańskiej, to należy się domyślać, iż nie zbudowano jej na pustkowiu dla nikogo, lecz było w pobliżu jakieś ludzkie osiedle. Ze wspomnianych wyżej poszukiwań archeologicznych widzimy, że śladów osadnictwa z tego czasu w pobliżu dzisiejszego Chełma jest niemało.

Powojenne badania grodów staropolskich pozwoliły na stwierdzenie w wielu wypadkach, iż pierwotne „miasto" lub osiedle, z którego dane miasto powstało — znajdowało się na innym, nieraz odległym o kilka kilometrów miejscu (np. Kalisz). Wykopaliska te rozwiały również mit o „magdeburskim" początku naszych miast. To samo ma miejsce i z początkiem Chełma. „Pra-Chełm" (naturalnie o innej, nie znanej nam nazwie) rozpoczął swą egzystencję na obronnych z natury wysepkach, otoczonych rozlewiskami i korytami rzeczki Uherki, Darczy i „Smierdzącej" między dzisiejszymi wioskami Bieławinem, Stańkowem, Okszowem i Horodyszczem. Dopiero ks. Daniel Romanowicz przeniósł pra-chełmską osadę na zadrzewione wzgórze zwane przez miejscową ludność „Ch-łm", gdyż podmokłe tereny „Zasłupia" nie pozwalały na nowoczesny (w ówczesnym XIII-wiecznym rozumieniu) stołeczny gród obronny. Warto tu mocniej podkreślić przeoczany przez historyków moment z kroniki wołyńskiej (Hipackiej), że przed zbudowaniem grodu na wzgórzu „Chełmie" Daniel rozmawia z „tuziemcami" (tj. tubylcami), wspomina pole dookoła góry, na którym oddaje się łowom. Przytaczam tu (we własnym przekładzie) odnośny fragment latopisu hipackiego: „Jadący i łowy na polu czyniący (Daniel) ujrzał miejsce piękne i lesiste na górze, obszedł je polem dookoła i zapytał tuziemców: jak się to miejsce nazywa? Tuziemcy odpowiedzieli: Chełm się nazywa *(podkreślenia St. Sk.)*.

Na wzniesienie swej stolicy ks. Daniel Romanowicz nie szukał terenów odludnych, lecz niewątpliwie zadecydowała odpowiednia baza gospodarcza i ludnościowa zarówno potrzebna do samej budowy nowego grodu, zaludnienia go, obrony. Nie bez znaczenia były też jakieś odgałęzienia ważnych szlaków handlowych wiodących przez okolicę późniejszego Chełma. Że takie musiały tędy przebiegać — potwierdzać ewentualnie może zgrupowanie w okolicy Chełma miejsc, w których znaleziono monety rzymskie, monety niemieckie z X wieku, szlak wyprawy Bolesława Chrobrego na Kijów i szlaki najazdu Tatarów w XIII wieku. Przypisywanie założenia Chełma Daniełowi halickiemu w XIII wieku, na „surowym korzeniu" („in cruda radice") należy zaliczyć między legendy, jak tę o Krakusie.

Na terenie wspominanego w kronice hipackiej Busówna odkryłem ostatnio ślady grodziska, które ma pewne podobieństwo do grodziska na Górze Chełmskiej; jest tu podobny (aczkolwiek mniejszych rozmiarów) nasyp pod zameczek feudała, otoczony wewnętrzną fosą, a całe grodzisko otaczają dwa dalsze wały z odpowiednimi fosami. W Chełmie te wszystkie elementy grodziska nie zachowały się ze względu na ciągłe późniejsze osadnictwo.

Na podstawie wyników badań archeologicznych ostatnich lat można wysunąć tezę, iż przeważająca liczba miast i innych miejscowości posiadających dokumenty lokacyjne ma znacznie starszą, aczkolwiek niepisaną metrykę. Pierwszy zachowany tekst dokumentu lokacyjnego dla Chełma z 1392 roku zawiera projekt „przeniesienia miasta Chełma z praw polskich i ruskich na prawa teutońskie, czyli magdeburskie". Sporządzony został w bez mała w półtora wieku po świetności Chełma jako osiedla o charakterze miejskim i miał na celu przywrócenie miastu dawnej świetności.

Przyszłe wykopaliska archeologiczne na terenie Chełma i okolicznych osad przyniosą wiele rewelacyjnych materiałów nie tylko do historii miasta Chełma, Chełmszczyzny, ale i do dziejów całego obszaru wczesnośredniowiecznej kolonizacji polsko-ruskiej, nazwanego później „Grodami czerwieńskimi".

Stanisław Skibiński

(Dział Archeologii i Historii Ziemi Chełmskiej — Muzeum w Chełmie)

Teatr im. J. Osterwy Roger Mac Dougall „Jonatan i cztery łapy". Na zdjęciu: Zdzisław Winiarczyk (Jonatan) i Danuta Kołaszyńska (służąca Rachela)

PRZEPRASZAMY — REMANENT

W dniu 25.III.1961 odbyła się w Teatrze im. Osterwy premiera sztuki „Jonatan i cztery łapy".

W dniu 26.III.1961 w Klubie Młodych LDK wystąpił gościnnie Miron Białoszewski z programem klasycznym; na życzenie publiczności Białoszewski i Murawska na „bis" pokazali „Symfonię na krzesło".

Lublin jest miastem ponadwojewódzkim. Lublin ma pięć wyższych uczelni. Lublin leży o dwie godziny czterdzieści minut jazdy pociągiem od Warszawy. Lublin nie ma sceny kameralnej. Ponadwojewódzki teatr o jednej scenie wystawia repertuar eklektyczny. Repertuar eklektyczny trafia do wszystkich. Wszyscy mają lat pięć, piętnaście, sto pięć, noszą brody, nie noszą bród, są kociakami, są dziadkami, przepadają za pumpernikiem, nie znoszą pumpernikla, są tacy, są owacy, są tradycyjni, są snobowaci, lubią operetkę, lubią „Podwieczorek przy mikrofonie", lubią Słonimskiego, nie lubią Słonimskiego, lubią „Bajki" Grimma, lubią „Cyda", nie lubią „Cyda", płaczą na „Damie Kameliowej", gwiżdżą na „Damę Kameliową", czekają na Godota, nie czekają na Godota.

W Lublinie jest młodzież. Młodzież jest trudna. Młodzież jest dziwna. Młodzież jest inna. Młodzież jest młoda. Jak to dziwnie być młodym. Młodzież nie wie czego chce. Młodzież sama nie wie czego chce. Inni wiedzą czego chcą. Inni są łatwi. Inni nie są inni. Jak to dziwnie być innym.

Miron Białoszewski mieszka przy placu Dąbrowskiego w Warszawie. Z placu Dąbrowskiego do Lublina jest dwie godziny czterdzieści minut jazdy pociągiem i dziesięć minut jazdy taksówką. Nie każdego stać na taksówkę. Naród nie chce Białoszewskiego. Młodzież jest trudna. Młodzież jest dziwna. Młodzież chce Białoszewskiego. Po diabła im Białoszewski? Białoszewski wystawia „Dziady", „Hamleta", „Kordiana", Norwida, „Wesele" i „Symfonię na krzesło".

Gustaw Białoszewski, Kordian Białoszewski, Cezar Białoszewski, Poeta Białoszewski, Białoszewski poeta. Murawska ma profil Nefretete. Białoszewski jest poetą. Młodzież jest trudna. Młodzież jest dziwna. Młodzież jest inna. Inni nie są inni.

W Lublinie nie ma sceny kameralnej. Teatr ponadwojewódzki o jednej scenie wystawia „Jonatana i cztery łapy" (tytuł oryginału: „The facts of life").

Nawet cztery łapy
nie uniosą klapy.

Bardzo przepraszamy. Bardzo przepraszamy. Remanent.

Al Ter ego

Al Ter ego

Widzi mi się

Uśmiech dzieciństwa

MIAŁEM chyba dziesięć lat, kiedy rodzice kupili mi książkę, która oczarowała mnie do tego stopnia, że stała się moją ulubioną lekturą po dziś dzień. Wracałem do niej wiele razy jako człowiek dorosły, czytałem ją jeszcze przed kilku laty i zawsze uśmiechała się do mnie niewinnym uśmiechem mego szczęśliwego dzieciństwa. Pewno między innymi i dlatego ma ona dla mnie taki urok.

To „Przygody Tomka Sawyera", po których wkrótce przyszła kolej na „Przygody Hucka" i trzecią część tej trylogii — nie przełożonego dotąd na język polski „Toma Sawyera w roli detektywa".

Co mnie wtedy w tych książkach porwało? Nie tylko sensacyjna fabuła, niezwykłe przygody chłopców w moim wieku lub nieco starszych, przygody na wielką skalę, bo czego tam nie było: i morderstwo, i wykrycie zbrodniarza, i ucieczka z domu, i wyspa „bezludna", i zabawy w piratów, i poszukiwanie i odnalezienie skarbu, i podróż tratwą po Missisipi, i tajemniczy aferzyści — „król" i „książę", i wyzwalanie z „niewoli" (już uwolnionego) Murzyna; nie tylko delikatnie zarysowany wątek miłosny (a jakże! „kochankowie" nie mieli razem dwudziestu lat...), ale i humanitaryzm tych książek (oczywiście wówczas nie określałem tego w ten sposób), sympatia dla słabych i uciskanych, no i humor, przedziwny świetlany humor, który tryskał z pogodnych kart tych powieści, a który odczuwałem już wtedy, humor, który później tak mnie przywiązał do Prusa i Dickensa, gdzie zresztą przejawiał się inaczej.

„Królewicza i żebraka" poznałem nieco później i choć dzieje zamienionych chłopców zainteresowały mnie bardzo i choć w książce tej jeszcze silniej zaakcentowany był humanitaryzm autora, jego współczucie dla nędzy i tak wyraźnie triumfuje sprawiedliwość — powieść ta nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia. Może dlatego, że mniej zawiera humoru, a może dlatego, że na ogół niezbyt lubiłem powieści historyczne.

A więc Mark Twain — Samuel Clemens, którego pięćdziesięciolecie śmierci przypada właśnie w kwietniu, to pisarz dla dzieci? Wielki musiał mieć talent, skoro te książki z rozkoszą może czytać i człowiek dorosły.

Ale nie przesadzajmy. Choć wspomniane utwory należą do szczytowych jego osiągnięć, Twain nie był twórcą jedynie tego rodzaju literatury. Jego pogodny humor potrafił czasem skręcić się w bezlitosny bicz satyry, którą smagał amerykańskie społeczeństwo, jego egoizm, żądzę bogacenia się, ucisk kapitalistyczny i imperializm plutokracji. Na ogół mało znamy jego twórczość i wiele jeszcze książek tego autora czeka na udostępnienie ich polskiemu czytelnikowi. Prócz powieści, o których była mowa, przełożono jeszcze przed wojną „Pretendenta z Ameryki", „Jankesa na dworze króla Artura", liczne opowiadania satyryczne i humorystyczne, a ostatnio „Iskry" udostępniły nam słynną książkę autobiograficzną „Roughing it" (a więc — to co się zniosło, co zahartowało) pod niezbyt fortunnym tytułem „Pod gołym niebem".

Twain, zanim zdobył sławę i majątek, bywał pod wozem i na wozie. Zecer, pilot na statku rzecznym, poszukiwacz złota, dziennikarz, wygłaszacz setek odczytów, wydawca, obieżyświat, już ze swego niezmiernie bogatego życia i z jego doświadczeń mógł czerpać i czerpał tematy. Tak powstało „Roughing it" i barwne „Życie na Missisipi" (to ono właśnie, praca pilota, nasunęło Samuelowi Clemensowi jego pseudonim: okrzyk przy mierzeniu głębokości wody: „mierz dwa!" (jardy) — „mark two!" a w zniekształconej angielszczyźnie: „mark twain!". Liczne podróże dały materiał do napisania „Innocents abroad", książki, która w krótkim czasie rozeszła się w dwustu tysiącach egzemplarzy. Tych samych „prostodusznych" przedstawił później już nie „abroad", ale we własnym domu. Ani „Życia na Missisipi", ani tych „Innocents" nie mamy jeszcze w polskim języku. A „Wilson z głową pełną plewy", powieść, którą po jej ukazaniu się określono jako genialną? A „Joanna d'Arc"? A „Podróż naokoło świata" ? To wszystko — pozycje zupełnie w Polsce nieznane.

Ciekawi mnie bardzo, jak nasze wydawnictwa uczczą pięćdziesięciolecie śmierci świetnego pisarza. „Iskry" zrobiły dobry początek. Ale to mało.

Sądzę, że przygody Tomka i Hucka, uzupełnione trzecią, nie przełożoną dotąd częścią trylogii, powinny się ukazać w pięknym wydaniu z ilustracjami. I że coś z tych książek, o których wspomniałem, należałoby w roku jubileuszowym przetłumaczyć. Inaczej wypadnie nam czekać do roku 1985 — stupięćdziesięciolecia urodzin Marka Twaina.

X. Rovay

Mark Twain w anegdocie

KIEDYŚ Marek Twain złożył wizytę głośnej pisarce amerykańskiej — Beecher-Stowe. Gdy wrócił do domu, żona jego zauważyła z przerażeniem, że roztargniony mąż odwiedził autorkę „Chaty wuja Toma" bez kołnierzyka i krawata. Gdy zaczęła mu z tego powodu robić wymówki, Mark Twain odpowiedział: „Nic nie szkodzi! Zaraz tę omyłkę naprawię!" Zapakował do pudełka krawat i kołnierzyk i wysłał je pocztą do Beecher-Stowe.

GDY Mark Twain przeczytał w gazecie, że jego autograf sprzedano za znaczną sumę, postanowił wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. Pewien handlowiec, który wkrótce potem zwrócił się do pisarza z prośbą o autograf, otrzymał od autora list, w którym Marek Twain dał wyraz swemu oburzeniu z powodu zabierania mu drogiego czasu dla względów merkantylnych. Ironia tego „autografu" polegała na tym, że cały list nie wyłączając podpisu był napisany na maszynie.

PEWNA gazeta zwróciła się do Marka Twaina z prośbą o napisanie dla niej opowiadania. Autor wyraził zgodę pod warunkiem, że honorarium za ten utwór musi być takie samo jak za powieść, bo opowiadanie, chociaż krótkie, będzie bardzo treściwe. W ten sposób powstała „Kartka z notesu wydatków męża". Oto mniej więcej treść tego powiadania:

Za ogłoszenie dotyczące zaangażowania maszynistki	tyle i tyle.
Zaliczka dla maszynistki za tydzień naprzód . . .	tyle i tyle.
Bukiet dla niej	tyle i tyle.
Kolacja z nią	tyle i tyle.

Wszystko to razem nie wyniosło zbyt wiele, ale w konsekwencji pociągnęło za sobą następujące dalsze już bardziej poważne wydatki uwzględnione w pozycjach:

„Posmarowanie" żony na toaletę dla niej . . .	wysoka suma
„Posmarowanie" teściowej — na palto dla niej	duża suma.
Ogłoszenie dotyczące zaangażowania maszynistki w starszym wieku	normalnie według taryfy.

O UPOWSZECHNIENIE WIEDZY NA WSI

(Dokończenie ze str. 1)

Wiadomo, że stało się to dzięki podjęciu inicjatywy tzw. eksperymentów. Przychylność i pełne zajęcie się sprawami szerokiej popularyzacji oświaty i kultury na wsi przez władze miejscowe, inspiracja i pomoc finansowa w wypadku Lubartowa udzielona przez władze centralne i wojewódzkie wydały szybko widoczne owoce. Owoców tych na początku działalności uniwersytetów powszechnych nie mierzyłbym nawet ilością wygłoszonych odczytów, ilością słuchaczy uniwersytetów i punktów odczytowych. Chodzi mi o coś innego, a mianowicie o stwierdzenie faktu uruchomienia w tych dwu powiatach dużych sił społecznych zdolnych do podjęcia poważnego zadania szerokiej popularyzacji wiedzy na wsi.

Wydaje mi się, że doświadczenia dwu lubelskich powiatów mogą rzutować na rozwiązanie tego problemu nie tylko w naszym województwie. Nie ulega jednak wątpliwości, że rozprzestrzenienie tych doświadczeń na inne powiaty w naszym wybitnie rolniczym terenie może mieć wyjątkowe znaczenie w okresie realizacji uchwał dotyczących szerokiej aktywizacji rolnictwa.

Spróbujmy zacząć nasze rozważania od początku. Działalność Towarzystwa Wiedzy Powszechnej na wsi skupia się głównie na dwu formach pracy. Są to: uniwersytety powszechne i punkty odczytowe. Dla niewtajemniczonych śpieszę z wyjaśnieniem, że różnica między uniwersytetem powszechnym a punktem odczytowym polega na tym, że w pierwszym zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu (po cztery godziny), w drugim natomiast wykłady przeprowadzane są raz w miesiącu. Trzeba tu dodać, że zajęcia na uniwersytecie powszechnym obejmują nie tylko wykłady, ale wycieczki, kursy specjalistyczne (np. gotowania, pieczenia, kroju i szycia dla kobiet) oraz ćwiczenia praktyczne. Zarówno w uniwersytetach, jak i w punktach odczytowych, sami słuchacze decydują o wyborze tematyki wykładów. Coś jakby wybór kierunku studiów po złożeniu matury. Oczywiście nie bierze się tu pod uwagę formalnej dojrzałości udokumentowanej świadectwem, ale rzeczywisty cenzus doświadczenia i wieku (jednak nie zawsze, bo są i tzw. uniwersytety młodzieżowe, np. w Jabłoniu w pow. parczewskim). Poważne, nie formalne traktowanie słuchacza uniwersytetu zakłada automatycznie wyższe kryteria doboru wykładowców (około 75 proc. wszystkich członków TWP to ludzie z wyższym wykształceniem. Są wśród nich i pracownicy naukowi). Takie podejście do zagadnienia popularyzacji wiedzy ma swoje uzasadnienie.

Wiadomo bowiem, że popularyzacja stawia przed popularyzatorem poważne wymagania zastosowania w działalności kryterium wyboru i dostosowania popularyzowanej wiedzy do wymogów audytorium. Niestety w takim wypadku zasób wiedzy człowieka zdanego wyłącznie na bagaż wiadomości uzyskanych w szkole średniej z zasady nie wystarcza. Zasób ten musi być uzupełniony studiami lub skierowany w określonym kierunku samokształceniem.

Nad tymi ogólnymi rozważaniami zatrzymałem się chwilę, by postawić wynikające z nich twierdzenia, że nauczyciel szkoły podstawowej na wsi w zasadzie nie jest w stanie podjąć się poważnego zadania popularyzacji wiedzy wśród dorosłych. Nie wiem, jak w tym miejscu mogę być zrozumiany, dlatego śpieszę z dalszymi wyjaśnieniami. Wiem, że takim postawieniem

→

Po tamtej stronie Olzy

(Dokończenie ze str. 7)

wierał wiersze młodzieńcze, pisane w czasie wojny i bezpośrednio po niej. Zamknięty świat własnych myśli, groza wojny i echa, jakie ta wojna pozostawia po sobie — oto treść tego tomiku, ujętego w liryczną formę, pełną zadumy i smutku. Drugi tomik pt. „Pochwała życia" (1952) ukazał nam pisarza usiłującego przejść od liryki osobistej do poezji o znaczeniu społecznym (...). Pisze jednak nie tylko pochwałę życia, lecz także pochwałę kraju rodzinnego, jego gór i ich krasy". Rozwinięcie tych problemów daje poemat epicki „Gwiazdy nad Beskidem" (1953).

A co przynoszą ostatnie zbiory? „Obuszkiem ciosane" zawiera dwa cykle wierszy: „Zbójnickie śpiewki" i „Skrzypce jodłowe". W drugim cyklu poeta wraca jeszcze do tematyki okupacyjnej. To prawda, że na niektórych wierszach znać pewne uproszczenia, zbyt surowe podanie materiału. Ale ta surowość jest także zaletą. Zdobywa się Jasiczek na taką prostotę i ascezę słowa, jak w „Stoją na warcie", wierszu o dwudziestu czterech powieszonych. Przejmująco brzmi zakończenie:

Czy słyszycie ich głos?
Polegli wciąż stoją na warcie —
Czy słyszycie ich głos?
Ludzie, słuchajcie.

W tym cyklu, być może nawet w całym tomiku, najciekawszym utworem jest „Tęsknota moja". Wartość jego wywodzi się ze stylizacji na pieśń ludową. Jasna symbolika, powtórzenia, prostota i lapidarność nadają mu kształt oszczędny a wyrazisty, bardzo efektowny i ujmujący.

Cykl „Zbójnickie śpiewki" w całości opiera się na folklorze góralskim, każdy prawie utwór ma motto z ludowej pieśni, które staje się motywem głównym, kształtującym cały wiersz. Nie poszedł Jasiczek drogą najprostszą i najłatwiejszą — nie szukał inspiracji w postaci Janosika, ale wydobył to, co w pieśni ludowej jest wspólne: postawa pełna buntu wobec krzywdy, zła i niesprawiedliwości. Wracają także częste w folklorze wątki, jak rekruta siłą branego do wojska, czy uwięzionego w ciemnicy zbójnika. Nie wszystkie te utwory brzmią jednakowo dobrze. Może dlatego, że autor nie prowadzi konsekwentnie pióra i czasem zamiast tylko stylizować, czyli świadomie wykorzystać ludową tradycję, próbuje pieśń ludową naśladować. Ale większość to stylizacje naprawdę udane, interesujące, tak jak choćby śliczne „Rozstanie" i „Buczyno, buczyno"...

W „Obuszkiem ciosane" spotka się też wiersze programowe, określające pojmowanie przez autora poetyckiego powołania. Poeta nie chce śpiewać dla muz, ale dla ludzi. To pierwsze stwierdzenie. A drugie:

Dobieram proste kolory,
W słowa je pragnę zamienić —
Wyrazić kolor oczu,
Chleba, kwiatów, kamieni.

Zamierzenie łatwe niby, a jednocześnie ogromnie trudne, któremu jednak Jasiczek nie bez powodzenia stara się sprostać.

„Jaśminowe noce" przenoszą czytelnika w inny kraj poezji. Sprawy okupacji i wojny wrócą rzadkim wspomnieniem, ucicha ludowa stylizacja. Zostaje krajobraz, przyroda i refleksja nad światem, nad życiem. Wiele tu słów o roli poety i poezji. Wiele zadumy nad sobą, nad ludźmi, nad tragicznym przemijaniem czasu:

Co rok jesteśmy młodsi,
bo młodość przychodzi z wiekiem.
Co rok jesteśmy prostsi
i pokłóceni z pośpiechem.

Refleksyjność Jasiczka najbliższa jest „Księdze ubogich" Kasprowicza i liryce Staffa. Optymizm zabarwiony lekko sceptycznym uśmiechem, pogoda spojrzenia, integralny związek smutku i radości, wreszcie prawie panteistyczne rozumienie natury, to jest dla nich wspólne. Do Staffa Jasiczek przyznaje się sam — bo pisał mu poetyckie epitafium. Kasprowicza słychać w wielu utworach. Dorzućmy jeszcze nazwisko Gałczyńskiego, też przez Jasiczka wymienione, z którym poetę wiąże spontaniczność wypowiedzi, atmosfera poetycka, a nawet pewne rekwizyty. Ale te inspiracje nie zacierają własnego oblicza autora, ani nie dają piętna jakiegoś epigonizmu.

O indywidualności Jasiczka świadczy wiele utworów. O zakochanych powie:

Dajcie im laskę,
białą laskę nadziei,
oni oślepli
od słońca miłości.

Takie słowa i takie wiersze, jak „Księżyc nad Oświęcimiem" czy „Uśmiech i smutek", mogły wyjść tylko spod pióra autora, którego talent poetycki nie podlega żadnej dyskusji.

Szkoda, że nasza prasa literacka nie prezentuje twórczości Jasiczka polskiemu czytelnikowi. Nie znać na niej przecież śladu getta kulturalnego, odwrotnie — jej łączność z polską tradycją literacką i to także zupełnie nową jest wyraźna i oczywista. Polszczyzna Jasiczka odznacza się czystością i jasnością, a napotkana niekiedy staroświeckość („Drży świeże mokre liście") dodaje jej tylko wdzięku i uroku.

Tadeusz Kłak

sprawy pozornie przekreślam sens istnienia tzw. podstawowych szkół dla pracujących i działalność uniwersytetów powszechnych organizowanych przez inspektoraty, w których jak wiadomo większość zajęć prowadzą nauczyciele miejscowi. Jako były nauczyciel szkoły podstawowej dla pracujących chcę tutaj wyjaśnić, że widzę sens i wartość dokształcania dorosłych w zakresie tradycyjnych klas. Niemniej jednak ze swych skromnych doświadczeń wiem, jak mało ponętna i trudna jest to forma pracy z człowiekiem, który ma już określony zawód, określone zainteresowania i chciałby widzieć konkretną przydatność zdobytej wiedzy na codzień. Śmiem twierdzić, że co najmniej 80 proc. moich byłych, starszych niejednokrotnie o wiele ode mnie doświadczeniem i wiekiem, uczniów porzuciłoby szkołę, gdyby nie zmuszała ich do wytrwania konieczność uzyskania świadectwa.

W wypadku uniwersytetów powszechnych taka presja nie istnieje. Jedyną presją jest atrakcyjność przynoszonej przez wykładowcę wiedzy.

Wiejskim słuchaczom uniwersytetów powszechnych w praktyce świadectwo ukończenia szkoły jest dotychczas niepotrzebne. Zresztą żadnych honorowanych świadectw uniwersytet powszechny nie wydaje. (Wydaje mi się, że jest to jednak z gruntu niesłuszne). Mimo to na przeciętnym wykładzie uniwersytetu powszechnego jest znacznie więcej ludzi niż w przeciętnej klasie szkoły dla pracujących.

Na zajęcia uniwersytetu powszechnego przychodzi od 25 do 100, a nawet i więcej osób. Liczby te wskazują na duży zasięg oddziaływania uniwersytetów, a o to nam przede wszystkim chodzi. Metody pracy i zasięg oddziaływania uniwersytetów powszechnych wskazują na to, że nie chodzi tu o podanie i przyswojenie przez słuchacza określonej sumy ogólnych wiadomości (takie zadanie stawia szkoła), ale o dostarczenie słuchaczowi niejako próbki wiedzy, której przydatność może sprawdzić prawie natychmiast. Podanie takiej próbki ma oczywiście za zadanie pobudzenie głodu i apetytu słuchaczy na wiedzę. W wyniku słuchacze sami powinni zacząć szukać środków na zaspokojenie rozbudzonych zainteresowań. Już dziś przykładów na to, że nie są to tylko zbożne życzenia, można przytoczyć sporo. Oto kierowniczka uniwersytetu powszechnego z Woli Skromowskiej (powiat lubartowski) opowiada, że trzyletnia działalność uniwersytetu powszechnego w tej wsi wpłynęła na to, że prawie wszyscy słuchacze pozakładali na swych polach poletka doświadczalne. Znacznie wzrosła tu prenumerata prasy rolniczej. W Spiczynie sami słuchacze badają kwasowość własnej gleby, by potem wyniki badań wykorzystać przy racjonalnym nawożeniu. Wiele podobnych przykładów można przytoczyć prawie z każdego uniwersytetu. Umysły wiejskich słuchaczy dzięki uniwersytetom powszechnym powoli, ale systematycznie, zaczynają się poruszać. I tu widzę największy sens i wartość działalności tych placówek.

Wykładowca w takim układzie — to niejako bakcyl zarażający słuchaczy. Siłą rzeczy nie może spełnić on roli zwykłej transmisji wiedzy, ale musi przynosić ze sobą i rozumienie zachodzących w danym środowisku procesów społecznych. Procesy te stosunkowo najlepiej znają rolnicy, prawnicy i lekarze, dlatego wykłady ich cieszą się na wsi największym powodzeniem.

Przytoczone tu rozważania mają nie tylko sens teoretyczny. Mogłem to stwierdzić przysłuchując się wypowiedziom wykładowców TWP z powiatu lubartowskiego.

Jeszcze raz chciałem zwrócić uwagę na to, że chodzi mi o wskazanie na potężny potencjał społeczny, który może być uruchomiony i wykorzystany niemal w każdym powiecie do popularyzacji wiedzy na wsi.

Dwa powiaty w województwie lubelskim udowodniły, że taki proces można przeprowadzić. Nie zapominajmy jednak, że są to tylko dwa powiaty. Na dodatkowe uruchamianie uniwersytetów powszechnych są niezbędne dodatkowe środki. Środków tych Zarząd Wojewódzki TWP nie ma. 81 w chwili obecnej istniejących uniwersytetów powszechnych to prawie 200 proc. zaplanowanej na rok bieżący działalności. Tak pokaźne przekroczenie planów było możliwe jedynie dzięki deklaracji finansowej pomocy Wojewódzkiego Wydziału Kultury (na eksperyment lubartowski) i Powiatowej Komisji Kordynacyjnej (na eksperyment chełmski). Pomoc ta wcale nie uruchomiła wszystkich posiadanych w TWP możliwości. Poinformowano mnie w Zarządzie Wojewódzkim, że Towarzystwo z powodzeniem mogłoby otworzyć w bieżącym roku 200 uniwersytetów powszechnych. Wszystko rozbija się jednak o brak pieniędzy.

TWP opiera swą działalność głównie na dotacji centralnej. Dotacja ta wystarcza na uruchomienie 43 uniwersytetów (oczywiście z uwzględnieniem i innej działalności, a wachlarz jej jest zarówno różnorodny, jak i szeroki).

Warto by o tym jeszcze kiedyś napisać. Udział finansowy województwa w działalności Towarzystwa Wiedzy Powszechnej jest kompromitująco niski. Poza tymi dwoma dotacjami nieco funduszu na akcję odczytową przeznaczają GS. Udział ten jest jednak bardzo skromny. Zresztą niektóre GS chcą popularyzować wiedzę poprzez punkty odczytowe wyłącznie dla swoich pracowników, nie dbając o innych mieszkańców wsi. W związku z tym efekt pracy wykładowców jest tu raczej nikły, bo urzędnicy GS nie są tak bardzo spragnieni wiedzy, jak mieszkańcy wsi.

Trzeba tu jeszcze wyjaśnić, że uniwersytet powszechny jest na pewno najtańszym sposobem popularyzacji wiedzy. Koszt rocznej działalności tego typu placówki wynosi bowiem około 8 tysięcy złotych. Przy czym nie wyposaża się nowej placówki ani w sprzęt, ani w etaty, ani nie kształci się dla niej dodatkowej kadry nauczycielskiej.

W województwie łódzkim problem pomocy finansowej dla TWP został dość radykalnie rozwiązany. Sama Miejska Rada Narodowa przeznaczyła na ten cel 300 tysięcy złotych. Dzięki dodatkowej finansowej pomocy w województwie łódzkim otworzono przeszło sto uniwersytetów powszechnych. Potrzeby naszego województwa w tym względzie są znacznie większe. Trzeba tu stwierdzić, że budzący się głód wiedzy na wsi możemy i to bez wielkich nakładów zaspokoić.

Na zakończenie chciałem zwrócić się do wszystkich, którzy lekką rączką wydają nie zawsze najbardziej celowo grosz społeczny. Zrozumcie, że każde zmarnowane 8 tysięcy złotych to całoroczny koszt działalności jednego z nie otworzonych z braku pieniędzy uniwersytetów powszechnych.

I tu uporczywie chce wleźć pod pióro prawie wytarty już slogan o Polsce kraju kształcących się ludzi. Slogan, bo do pełnej jego realizacji jeszcze daleko. W moich rozważaniach chciałem wskazać na poważne możliwości wcielenia tego hasła w życie w środowisku wiejskim.

Józef Zięba

ŻEROMSKI
w przekładach serbsko - chorwackich

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

W listopadzie r. ub. minęło 35 lat od śmierci naszego wielkiego pisarza, którego twórczość wiąże się i z ziemią lubelską, szczególnie z Nałęczowem. Może więc nie od rzeczy będzie poinformować czytelników „Kameny" o echach twórczości Żeromskiego w literaturach południowosłowiańskich: serbskiej i chorwackiej; z tym tylko zastrzeżeniem, że informacja dotyczy tylko utworów Żeromskiego przełożonych na język serbsko-chorwacki (wspólny obu odrębnym narodom, tj. Serbom i Chorwatom) z pominięciem krytycznych wypowiedzi o samym pisarzu.

Pierwszego przekładu z Żeromskiego dokonano w środowisku chorwackim — był to przekład utworu pt. „Życzenie" (Želeli), zamieszczony w czasopiśmie Zivila Hrvatska, Kalendarz na rok 1902, str. 50—56. Autor przekładu nie podpisał się pod nim. Następnie, w krótkich stosunkowo, odstępach czasu ukazywały się przekłady dalsze, przez różnych autorów dokonane i w różnych ogłoszone periodykach, bądź książkowych publikacjach. I tak w r. 1906 na łamach nr 24/25 czasopisma zagrzebskiego Obzor ukazał się przekład noweli pt. „Tabu", pióra stefana Musulina; tę samą nowelę przełożył później Franciszek Crnek (Vijenac, Zagreb 1926). W r. 1906 w nr 259—273 czasopisma Narodne Novine (Zagrzeb) ukazał się pierwszy przekład utworu pt. „Aryman mści się" (Ariman se osvećuje) — dokonał go St. Musulin; drugi przekład „Arymana", pióra Juliusza Beneszicia zamieścił tłumacz w zbiorku: Pripovjesti, wydanym przez Matiću Hrvatską w Zagrzebiu w r. 1947. „Godzinę" (Jedan sat) przełożyli: St. Musulin (Obzor, Zagrzeb 1906, nr 167) i J. Beneszić (zbiorek: Pripovjesti, Zagrzeb 1947). W latach 1906 i 1907 w zagrzebskim Obzorze, nr 318—342, 1—102 zamieszczono przekład „Prochu i popiołu" (Prah i pepeo), pióra St. Musulina; w r. 1947 przekład ten ukazał się w dwutomowym wydawnictwie książkowym w Białogrodzie, w wyd. Prosvijety.

Dwukrotnie przełożono i wydano opowiadanie „Rozdziobią nas kruki, wrony", najpierw pt. „Raskljuvat će nas gavrani, vrane" w przekładzie Adama Pribićevicia (Brankowo Kolo, nr 32/33, Beograd 1907), później w tłumaczeniu Herminy Müller pt. „Gavranima i jastrebima za hranu" (Novele wyd. Jakszy Sedmaka, Zagrzeb 1947). — „Zapomnienie" ogłoszono czterokrotnie: pierwszy raz w r. 1909 w przekładzie St. Musulina (Zaborav, Narodne Novine, nr 119—122 z r. 1909), następnie w przekładzie Lazara R. Kneževicia (Zaborav, Bosanska Vila, nr 17—18 z r. 1912; Srpski Književni Glasnik, t. 29, nr 11 z r. 1912 i w zbiorku: Svetski pisci, wydanym w Białogrodzie w r. 1939). Utwór pt. „Rankiem" (Jednom o zoru) przełożył P. G.) Nar. Novine, nr 191 z r. 1913), potem P. N. (U ranu zoru, Pobratim, Beograd 1916).

W r. 1914 ukazał się przekład „Wiernej rzeki" (Vjerna rijeka) pióra St. Musulina, w wyd. Maticy Hrvatskiej w Zagrzebiu, w rok zaś później Zabavna Bibljoteka w Zagrzebiu wydała jako swój tom 34—35 przekład „Urody życia" (Milina života) pióra Isy Velikanović. W następnym roku 1916. przekładu „Dziejów grzechu" (Povijest grijeha) dokonał J. Beneszić (Zabavna Bibljoteka, t. 46—19, Zagreb 1916).

W r. 1923 czasopismo Vijenac, wychodzące w Zagrzebiu ogłosiło przekład utworu pt. „Męka" (Patnik) podpisany inicjałami M. G. Na łamach czasopisma Mladost, nr 8—10 z r. 1926 ukazały się fragmenty „Popiołów" (Iz „Pepela"), przełożone przez Zdenkę Marković. W tym samym roku 1926 wyd. Porodiczna Bibljoteka wydało w Białogrodzie tom opowiadań w przekładach Milana L. Rajicia — w zbiorku znalazły się opowiadania: „Zmierzch" (Sumrak) — „Złe spojrzenie" (Rdjavo predosećanje) — „Pokusa" (Iskuszenje) — „Po Sedanie" (Posle Sedana) „Ananke" — „Cokolwiek się zdarza, niech uderza we mnie" (Masta se desilo, neka udara u mene), fr. „Ananke").

W r. 1928 znakomity tłumacz naszej literatury, Juliusz Beneszić opublikował, jako 424 tom Zabavnej Bibljoteki, swój przekład „Przedwiośnia" (Uoczi proljeća), w roku zaś 1928 wystawił w teatrze somborskim „Przepióreczkę" (Utekla mi prepelica), również we własnym przekładzie.

W rok później Lazar R. Knežević — serbski odpowiednik chorwackiego Beneszicia — ogłosił w białogrodzkim miesięczniku „Misao" (Myśl) trzy swoje przekłady: „Cokolwiek się zdarza, niech we mnie uderza", fragment noweli pt. „Ananke" — „Karę" (Kazna) i opowiadanie pt. „O żołnierzu tułaczu" (O vojniku potucaczu) — przekład tego ostatniego utworu znalazł się w zbiorku Kneževicia „Svetski pisci" (Pisarze światowi), wydanym w Białogrodzie w r. 1939.

Rzecz pt. „Cokolwiek się zdarza..." przełożył ponownie w r. 1934 Djordje Živanović (Venac XIX, nr 6, Beograd 1934). W tym samym roku w wydawnictwie „1000 najpiękniejszych nowel" ukazał się „Doktor Piotr" (Doktor Petar) w przekładzie L. R. Kneževicia, zamieszczony później (1939) w zbiorku „Svetski pisci". Poza „Doktorem Piotrem" zbiorek Kneževicia zawierał pozycje: „O żołnierzu tułaczu" — „Karę" — „Pokusę" — „Zapomnienie" — „Cienie" (Senke) — „Zmierzch" — „Ananke" — „Złe spojrzenie" — „Cokolwiek się zdarza,..." i „Swojemu Bogu" (Svome Bogu).

Przekładu „Ananke" dokonał również Fr. Crnek, ogłosiło czasopismo Književni Horizonti II, nr 10—12, Zagrzeb 1938 r.

Po drugiej wojnie światowej, już w r. 1944 ukazała się nakładem Chorwackiego Instytutu Wydawniczego w Zagrzebiu powieść „Ludzie bezdomni" (Beskućnici) w przekładzie J. Beneszicia, po czym w r. 1947 Matica Hrvatska w Zagrzebiu wydała zbiór opowiadań w przekładach tego samego tłumacza — w zbiorze znalazły się nast. utwory: „Siłaczka" (Atletkinja) — „Zmierzch" (Sumrak) — „Doktor Piotr" (Doktor Petar) — „Cokolwiek się zdarza niech we mnie uderza" (Sztosedogodi, neka mene pogodi) — „Ananke" — „Na pokładzie" (Na palubi) „O żołnierzu tułaczu" (O vojniku potucaćuje) — „Godzina" (Jedan sat) — „Aryman mści się" (Arhiman se osveli) — „Tabu" — „Kara" (Kazna) — „Echa leśne" (Szumski odzivi) — „Posłowie" (Pogovor). Zbiór ukazał się pt. „Pripovjesti".

Nie uwzględniając pozycyj, jakie ukazały się po roku 1947 — ze względu na brak potwierdzonych wiadomości — przyznać trzeba, że zainteresowanie się twórczością autora „Popiołów" w środowisku pisarzy jugosłowiańskich było bardzo żywe.

Książki, które czytamy

„Noc" W. Rogowskiego

Coraz częściej Wydawnictwo Lubelskie oddaje do rąk czytelników książki poświęcone latom okupacji hitlerowskiej. Ostatnio obok „Dziennika z lat okupacji" Zygmunta Klukowskiego, powieści Ryszarda Liskowackiego „Po tamtej stronie życia", „Serc za drutem" K. A. Jaworskiego i innych pozycji przybyła powieść Wiesława Rogowskiego pt. „Noc".

„Noc" otrzymała II nagrodę (I nagrody nie przyznano) w ogólnopolskim konkursie literackim Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej. Ten dopisek na ostatniej stronie „Nocy" sugeruje sięgającym po powieść czytelnikom, że jest ona najlepsza z tych, które napłynęły na konkurs. Niestety „Noc" ma jednak szereg usterek, które mogą budzić pewne zastrzeżenia.

Akcja powieści rozgrywa się (w myśl postulatów konkursowych) na Lubelszczyźnie. Wydaje się, że sprawa ta na kartach „Nocy" potraktowana została zbyt marginesowo i wygląda tak, jakby autor „na siłę" wtłaczał akcję na teren, zwany okolicą nadwieprzańską. Miasteczko, w którym przebywał bohater Gregoruk przypomina z opisu bardzo niewyraźnie Lubartów. Na ogół jednak więź z regionem jest słaba i na tym polegałoby pierwsze zastrzeżenie skierowane do autora „Nocy".

Bohater powieści Gregoruk — ślusarz z zawodu, bierze udział w walce z okupantem. Obok pracy w zakładzie u Szymańskiego, przechowuje on bezinteresownie Żyda — Golda, przygotowuje broń dla jakiejś organizacji podziemnej (nie wiadomo AK, AL czy BCh?) i dostarcza ją do gospodarza Jana. Gdy pomyślnie wykonane zostały przedsięwzięte plany, Gregoruk zasypia spokojnie wraz z Żydem w stodole, na wiązce siana u gospodarza, należącego również do jakiejś trudnej do zidentyfikowania organizacji. Czytelnik na kartkach tej powieści nie spotka się z akcjami partyzantów, które przecież były bardzo liczne, bohaterskie i charakterystyczne dla Lubelszczyzny (vide: książka Stefana Rodaka — Roli pt. „Maszerują Chłopskie Bataliony..."). A i postać samego bohatera jest raczej papierowa.

Bohaterki zaś „Nocy" pławią się zbyt często w swych stanach duchowych, w osobistych klęskach i tragediach. Ta wyrazista metoda introspekcji poetycznej, zastosowana do postaci Katarzyny i Marty, kontynuuje niewątpliwie tradycję powieści nurtu mieszczańsko-psychologicznego, tak typowe dla Nałkowskiej, Dąbrowskiej czy Kuncewiczowej, ale w epoce dzisiejszej trąci to już w pewnych wypadkach nieco myszką. Wydaje się po prostu, że okupacja, terror, strach o tzw. jutro, nie pozwalałyby na takie roztrząsanie przeżyć i dzielenie przysłowiowego włosa na czworo.

Jednym z poważniejszych problemów dyskusyjnych jest też sprawa Niemców. W powieści bowiem potraktowana jest ona zbyt marginesowo, szczątkowo. Dowiadujemy się, owszem, z relacji bohaterów i odautorskich, że okupant nie śpi, że ludność narzeka, ciąży jej wyznaczona godzina policyjna, ale czytelnik nie widzi Niemców bezpośrednio w akcji. Ukazany przez Rogowskiego w „Nocy" Kraft — to Niemiec, który żył z Polakami w tym miasteczku przed wojną i tylko pochodzenie zmusiło go do służenia na rzecz hitlerowców, ale w rzeczywistości sympatyzował nadal z Polakami. Nie wydaje się, żeby Lubelszczyzna — ten ruchliwy ośrodek partyzancki, głośny ze swoich wyczynów dywersyjnych w okresie okupacji, był tak zaniedbywany przez Niemców i tak słabo przez nich strzeżony. Młodzież, która nie przeżywała okupacji i walki narodu polskiego, może wynieść z kart „Nocy" fałszywy, niepełny obraz partyzantów i hitlerowców.

Obok tych momentów dyskusyjnych powieść Rogowskiego ma jednakże dużo stron dodatnich, wyrażających się przede wszystkim w realistycznym kreśleniu sytuacji. Warto np. przytoczyć scenę przeszukiwania mieszkania Gregoruka przez Piekarczykową, która spodziewa się znaleźć tam ukryte złoto:

„Przesuwała przedmioty, z początku uważnie i cicho, po chwili jednak zaczęła nerwowo wyrzucać zatłuszczone papiery, rozrywać torebki z kaszą i mąką, wysypywać ich zawartość na podłogę. Zatrzymała się zmęczona, nadsłuchiwała przez chwilę, potem rozejrzała się jeszcze raz dookoła. Podbiegła do łóżka. Wyciągnęła siennik i szybko, gwałtownie, zaczęła wysypywać z niego sło-

(Dokończenie na str. 12)

To sprawa bardzo pilna

Prof. dr Mieczysław Kaczyński, kierownik Kliniki Psychiatrycznej AM bardzo wiele uwagi i czasu poświęca sprawie walki z alkoholizmem. Profesor wchodzi w skład Zarządu Wojewódzkiego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego i jest jednym z głównych inicjatorów zorganizowania w Suchowoli zamkniętego zakładu dla nałogowych alkoholików. O sprawach tych rozmawiamy z prof. dr. Kaczyńskim w WSKP. Oto co nam powiedział:

— Problem alkoholizowania się ma trzy główne aspekty: naukowy, lekarski, no i oczywiście społeczny. Jeśli idzie o badania naukowe, to dzielimy je na psychologiczne, środowiskowe, psycho-fizjologiczne i biochemiczne.

Ze stanowiska lekarskiego podstawowym zagadnieniem jest postępowanie przy alkoholowym zatruciu ostrym i przewlekłym. Od strony społecznej najważniejsza sprawa, to profilaktyka — zapobieganie piciu przede wszystkim przez młodzież i dzieci.

Dzięki dotychczasowej praktyce i nowoczesnym środkom leczniczym ustalone zostały sposoby postępowania z ludźmi znajdującymi się w ostrym stanie upojenia alkoholowego. Powinni oni być kierowani na oddziały psychiatryczne, chorób wewnętrznych, a także do właściwie urządzonych poradni zdrowia psychicznego, ewentualnie do izby wytrzeźwień. Najtrudniejszym problemem jest postępowanie z alkoholikami przewlekłymi, zwanymi pospolicie nałogowymi. U ludzi tych, — a są ich tysiące — alkohol wywołuje już zmiany biochemiczne, a niejednokrotnie też strukturalne tkanki mózgowej. W związku z tym nałogowi alkoholicy wykazują zmiany charakterologiczne i intelektualne, anomalie w postępowaniu i zachowaniu. Nie będę rozwodził się nad tymi sprawami. Aż nadto dobrze znane są tragedie osobiste, rodzinne, zawodowe i społeczne alkoholików.

Zagadnienie właściwego leczenia jest więc niezmiernie ważne i aktualne. Mimo poważnego wzrostu łóżek w szpitalach psychiatrycznych oraz nowoczesnych środków leczniczych pozwala-

(Dokończenie na str. 12)

Wymowa cyfr

ZENON KWAŚNIEWSKI

Wydaje mi się, że niemożliwą byłoby rzeczą spojrzeć w chwili obecnej na odbudowane i rozbudowane w okresie powojennym miasta i wsie Lubelszczyzny, nie kojarząc z tym prac wykonanych w czynie społecznym przez mieszkańców Lubelszczyzny.

W 1959 r. wartość prac wykonanych przez mieszkańców Lubelszczyzny wyniosła ponad 10 mln zł. W okresie tym na terenie województwa lubelskiego wyremontowano i ułożono ponad 85 tysięcy m² dróg bitych oraz ponad 20 tysięcy m² chodników. W ramach prac społecznych posadzono ponad 43 tysiące sztuk drzew i krzewów, powiększając w ten sposób nie tylko nasz drzewostan, ale upiększając także wiele skwerów i zieleńców.

Wartość wykonanych w czynie społecznym prac w 1960 r. wynosi blisko 15 mln zł. W ub. r. akcja czynów społecznych skoncentrowana została głównie wokół poprawy stanu ulic i chodników.

Inicjatorem prac w czynie społecznym są najczęściej organizacje partyjne, związkowe i społeczne. Ich działalność spotyka się zawsze ze zrozumieniem i poparciem załóg zakładów pracy, urzędów i instytucji oraz młodzieży szkolnej i akademickiej.

Park Ludowy i stadion „Lublinianki" w Lublinie, dziesiątki nowych skwerów, placów zabaw i zieleńców są widomym znakiem prac wykonywanych w czynie społecznym. Przy budowie tych i innych inwestycji udział społeczeństwa wyrażał się przeważnie w wykonywaniu tzw. robót niefachowych.

W ub. r. na Lubelszczyźnie zaznaczył się ożywiony ruch budowlany obiektów użyteczności publicznej. Objął on przede wszystkim wieś. W 1960 r. rozpoczęto budowę 94 obiektów kulturalnych (domy kultury i domy ludowe). Niektóre z nich oddano już do użytku. Wkład społeczeństwa Lubelszczyzny w budowę tych obiektów określa się sumą około 4 mln zł. W okresie tym powstały dziesiątki nowych wiejskich sklepów, remiz strażackich, ośrodków zdrowia i innych obiektów. Rozpoczęto budowę wielu kilometrów wiejskich wodociągów. Zelektryfikowano dziesiątki wsi, wybudowano nowe szkoły, w tym 32 szkoły-pomniki Tysiąclecia. Wszystkie te obiekty wzniesiono przy pomocy Państwa i dużym nakładzie prac wykonanych w czynie społecznym przez mieszkańców Lubelszczyzny

Rolnicy Lubelszczyzny w ub. r. przeprowadzili w czynie społecznym konserwację 10 km rzek oraz 12 km wałów przeciwpowodziowych, głównie w powiatach puławskim i kraśnickim oraz wykopali wiele kilometrów rowów melioracyjnych na łąkach, bagnach i pastwiskach.

Warto podkreślić, że w rozwoju czynów społecznych dużą rolę odgrywają organizacje kobiece. Tam, gdzie czynem społecznym buduje się nową szkołę, ośrodek zdrowia czy dom kultury, wśród organizatorów i inicjatorów czynu społecznego nie brakuje nigdy kobiet. Istniejące na terenie Lubelszczyzny 825 kół Gospodyń Wiejskich, zrzeszające ponad 15 tysięcy kobiet — to poważna siła inicjatywy i energii, która zaważyła w ciągu ostatnich lat na ogólnym wzroście kulturalnym i gospodarczym województwa lubelskiego.

Nie sposób wymienić wszystkich akcji i czynów społecznych mieszkańców Lubelszczyzny. Było i jest ich wiele, tak wiele, jak wiele jest potrzeb niemal we wszystkich dziedzinach życia społeczeństwa Ziemi Lubelskiej. Ale warto wiedzieć, że każda inicjatywa ludności zostanie przez Państwo na pewno poparta i znajdą się odpowiednie fundusze na kontynuowanie zapoczątkowanych w czynie społecznym prac.

Inicjatywa realizowana czynami mieszkańców stawia województwo lubelskie w rzędzie najbardziej aktywnych gospodarczo. Lubelszczyzna rośnie i pięknieje. Wszystko to dzieje się dzięki pracy robotnika, chłopa i inteligenta. Dlaczego by inne województwa nie miały skorzystać z naszego przykładu?

W przededniu wyborów do Sejmu PRL i Rad Narodowych, wyborów, które są bodźcem i okazją do podjęcia prac w czynie społecznym, warto zadać sobie pytanie: Jaki jest mój udział w pracach społecznych?

Na to pytanie niech odpowie sobie szczerze każdy czytelnik.

NOTY

MŁODZI W „TWÓRCZOŚCI". Opowiadanie Stanisława Czycza (nr 3), niewątpliwie napisane z dużym talentem, sprawia na czytelniku przygnębiające wrażenie. Realia w nim zawarte (np. udział w festiwalu poetów), użycie pierwszej osoby w relacjonowaniu wydarzeń każą nam traktować ten utwór jako smutną spowiedź dzisiejszego „dziecięcia wieku". Redaktor „Twórczości", jakby z góry przewidując ewentualne zarzuty krytyki, pisze o „gorzkim smaku brzozowych liści". Och, jakże gorzki jest ten smak! Toteż z ulgą z dusznej atmosfery tego opowiadania przechodzimy do poematu Edwarda Stachury (przedstawiciela tegoż pokolenia!) — „Przystępuję do ciebie". Miast cynizmu, obojętności, choćby nawet będących maską kryjącą istotne oblicze autora „Anda", — ożywczy strumień uwielbienia, pokory i czystości. W sztucznie archaizowanych strofach (co w połączeniu z właściwą Stachurze dezynwolturą w stosunku do gramatyki ma swoisty wdzięk) młody poeta modli się w swej „Pieśni nad pieśniami" o wybawienie go z „jaskini lwów", z „literackiego klubu", z rąk ludzi, co „są gady a słowa ich papugi", z tej całej „epidemii", gdzie się nim bawi „sfora". Stachura zna dobrze klimat, w którym wyrosło opowiadanie Czycza, ale nie ulega mu, wierzy w to, że „odnajdzie słoneczność", bo choć czuje się „zagubion", ale „w humanizmie jest periopiaw".

JAN NEPOMUCEN MILLER przypomniał w tymże numerze „Twórczości" swój esej, zamieszczony przed czterdziestu blisko laty w „Ponowie" (nr 5, r. 1922): „Poezja znakowania (przestankowanie jako sztuka)". Interesujące rozważania na temat licznych możliwości, jakie może stwarzać właściwe a subiektywne korzystanie przez autora z interpunkcji, zostały poszerzone o przykłady zaczerpnięte z utworów, które ukazały się już po r. 1922.

ERENBURG O JESIENINIE I PASTERNAKU pisze m. in. w swych wspomnieniach („Ludzie, lata i życie") zamieszczonych w numerze 2 „Nowego Miru" (w „Polityce" to się ukaże dopiero za kilka miesięcy). O Jesieninie — bardzo serdecznie, o Pasternaku — raczej powściągliwie, ale obiektywnie i lojalnie. Oto zdanie o „Doktorze Zywadze": „Po przeczytaniu „Doktora Zywagi" czułem się zmartwiony. Kiedyś Pasternak napisał: „Nieumiejętność znalezienia i powiedzenia prawdy to brak, którego nie da się pokryć żadną umiejętnością mówienia nieprawdy". W powieści uderzyła mnie artystyczna nieprawda. Jestem przekonany, że Borys Leonidowicz pisał ją szczerze, są tam wspaniałe stronice — o naturze, o miłości, ale autor zbyt wiele stron poświęcił temu, czego nie widział i nie słyszał. Książkę uzupełniają cudowne wiersze i jakby podkreślają duchową nieścisłość pracy". A w ogóle wspomnienia Erenburga to pasjonująca lektura. Ale żeby tak pisać, trzeba mieć takie bogate życie, znać tylu interesujących i znakomitych artystów, no i posiadać świetną pamięć i pióro autora „Julia Jurenity"!

„POLITYKA" niezależnie od tego, że jest bardzo ciekawym i dobrze redagowanym pismem, ma jeszcze magnes przyciągający czytelników: to właśnie te wspomnienia Erenburga. A teraz przybył jeszcze jeden, choć innego rodzaju — reportaże Ryszarda Kapuścińskiego z Konga, od których trudno się oderwać.

„NOWA KULTURA" zamknęła na razie dyskusję o poezji młodych — podsumowaniem Alicji Lisieckiej, z którym można się jeszcze zgodzić. Inaczej, niż z jej propozycjami dotyczącymi skurczyzowania listy lektur w szkołach ogólnokształcących (nr 12 „Nowej Kultury"), kiedy to do śrubek „maszyny zamulającej" zaliczyła m. in. „Odprawę posłów greckich", „Grażynę", „Śluby panieńskie", „Noce i dnie", opowiadania Żeromskiego — w lekturze podstawowej, a pamiętniki Paska, „Klub Pickwicka", „Mickiewicza" Jastruna, „Colas Breugnon", „Ze wspomnień starego sympatyka" — w lekturze uzupełniającej. Żeromski, Strug, Dąbrowska, Dickens i Rolland — to „zamulacze". Z tymi pomysłami ostro rozprawił się Zbigniew Florczak w n-rze 13 „Polityki" w artykule: „Słowo honoru ———— będę zamulał".

-kaj-

O należny akcept

(Dokończenie ze str. 2)

Zieleniewski z KW PZPR) często wysuwana była sprawa pamiętnikarstwa. Przewodniczący PWRN mgr Paweł Dąbek, specjalnie przypominał pamiętnikarstwo partyzanckie. Dobrze, że zachęca się do pisania (nawet we wnioskach przyjęto sprawę ogłoszenia wojewódzkiego konkursu) i obiecuje się pokonanie chwilowych trudności z papierem. Dobrze, że nareszcie dobieramy się do tej formy zbierania i gromadzenia naszej historii. Cieszę się z tego, bo to moje „hobby". Ale obym dożył tej pociechy, gdy wszystkie instytucje, związki i zakłady pracy zaczną pisać swoje kroniki. W przygotowanym przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Lubartowskiej czwartym zeszycie naszych jednodniówek (oddany do druku w grudniu ub. roku, a obecnie w komisji recenzenckiej) dajemy wycinek kroniki PSS, która jedyna odpowiedziała na nasz apel zamieszczony w naszym wydawnictwie w roku 1959. Jak gdyby lubartowska Straż Ogniowa, Huta Szkła, PZGS, Bank Spółdzielczy, albo Klub Sportowy „Lewart" nie miały swojej historii.

Wyczekujemy ciągle na zmianę w stosunku naszych środowisk do poruszonych spraw. Wyczekujemy nie biernie. Wymienione wyżej trzy zjazdy zmobilizowały nas do rozgrywki, która doprowadzi ostatecznie do tego, że ideały garstki zapaleńców zyskają należny akcept w całym społeczeństwie.

Adam Owsikowski

Rozstrzygnięcie konkursu „Kameny"

ogłoszonego pod hasłem „Czy znasz geografię literacką Lubelszczyzny?"

Po zapoznaniu się z 54 rozwiązaniami nadesłanymi na nasz konkurs, Kolegium Redakcyjne przyznało na posiedzeniu w dniu 16.III.1961:

I nagrodę (torba podróżna) Barbarze Moszyńskiej (Lublin)

II nagrodę (biblioteczka) Zespołowi Kółka Polonistycznego kl. IXb przy Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym w Świdniku,

III nagrodę (przybory do pisania) Małgorzacie Rzewuskiej (Lublin)

oraz 6 wyróżnień I stopnia (książki): Irenie Buczkowej (Lublin), Janinie Golianowej (Lublin), Zbigniewowi Śliwińskiemu (Warszawa), Helenie Sojart (Nałęczów), Janowi Spychalskiemu (Lublin), Marii Świderskiej (Warszawa).

9 wyróżnień II stopnia (książki) uzyskali po wylosowaniu: Renata Borek, Mieczysław Buczyński, Alina Ciechań, Waldemar Jastkowiak, Irena Lejman, Joanna Kopczyńska, Henryk Sadowski, Ewa Zakrzewska, Zbigniew Wilczewski (wszyscy z Lublina).

Prosimy o odbieranie nagród w redakcji „Kameny" (Graniczna 1c) od godz. 12 do 15. Laureatom zamiejscowym nagrody zostaną wysłane.

To sprawa bardzo pilna

(Dokończenie ze str. 11)

jących na znaczne skrócenie okresu leczenia w zakładach zamkniętych, jednak wciąż jest tam za mało miejsc. Niedoborowi temu nie jest w stanie przeciwdziałać w chwili obecnej nawet niezwykła energia i ogromnie owocna działalność Wydziału Chorób Psychiatrycznych Departamentu Profilaktyki i Lecznictwa Ministerstwa Zdrowia. Łóżka szpitalne są przede wszystkim koniecznie potrzebne dla psychicznie chorych, brak ich więc dla alkoholików.

Alkoholicy wymagają zresztą odrębnego podejścia, innych zasad leczniczych i rehabilitacyjnych. Dlatego też sprawą palącą jest uruchomienie specjalnego zakładu dla alkoholików przewlekłych. Zakład taki ma powstać u nas w Suchowoli, w readaptowanym pałacu. Niestety, prace postępują tam zbyt powoli, mimo pełnego zrozumienia wagi problemu ze strony Wydziału Zdrowia WRN. Należy więc wszystko uczynić, by je przyśpieszyć i jak najszybciej oddać ośrodek ten do użytku. Umożliwi to rozwiązanie trudnych zagadnień badawczych, profilaktycznych, leczniczych i rehabilitacyjnych.

Zakład pomieściłby ponad 100 chorych, którzy pozostawaliby pod odpowiednią opieką lekarską i pielęgniarską. Rozwiązałoby to trudności, jakie na naszym terenie mają sądy z alkoholikami skazywanymi na przymusowe leczenie, czy też za przestępstwa.

Ośrodek taki umożliwiłby zdobycie doświadczeń, które z kolei pozwoliłyby oprzeć na nowych zasadach aspekt profilaktyki. Rzecz jednak w tym, by zakład w Suchowoli uruchomić, by wszystkie te możliwości ze sfery „dobrych chęci" przeszły w realne fakty.

Rozmawiała St. Gogołowska

„Noc" W. Rogowskiego

(Dokończenie ze str. 11)

mę.(...) Na podłodze urósł stos słomy. Ruchliwymi palcami obmacywała sienik, szarpała brzegi materiału, lecz nic nie znalazła. Zagryzła wargi z gniewu, po czym chwyciła pościel; gniotła w rękach poduszkę, starając się wyczuć palcami, czy nie kryje w sobie czegoś twardego".

Świetnie naszkicowani są również mieszkańcy przybyli na pogrzeb starego Piekarczyka, ojca Marty, dla których — jak mówi autor — „Pogrzeb nie był widowiskiem, którym można było tak łatwo pogardzić; zresztą niektórzy czuli się w obowiązku chrześcijańskim".

Po przeczytaniu „Nocy" czytelnikowi nieodparcie nasuwa się uwaga, że Rogowski dobrze czuje się w opisach i sprawozdawczych fragmentach powieści, nieco zaś słabiej w dialogach (bohaterowie często operują bliźniaczo podobnymi sformułowaniami, tym samym zasobem słownictwa, co dzieje się z krzywdą dla indywidualizacji postaci). Doskonale natomiast wypada w powieści strona reportażowa, chociaż wydaje się, że właśnie ona zaciążyła na tym, że czas akcji uległ zwężeniu, a w konsekwencji ograniczył możliwości pełniejszego ukazania wydarzeń.

Na zakończenie trzeba wspomnieć o przyjemnej, ciekawej, obwolucie „Nocy", wykonanej przez grafika lubelskiego — Krzysztofa Kurzątkowskiego.

Elżbieta Rosiak

Wiesław Rogowski: Noc. Lublin 1961. Wydawnictwo Lubelskie, s. 229, 3 nlb. Cena 15 zł.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" * Redaguje Kolegium * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c * Telefon: 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu" Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 1443. 27.III.61. Nakład 1.200. W-3.